

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 14 lipca 1946 r.

Nr 28 (85)

WACŁAW KUBACKI

Z zagadnień mickiewiczowskiej dramaturgii

Jednym z najbardziej kuszących zagadnień badawczych w Dziadach Drezdeńskich jest stosunek ks. Piotra do Konrada. Pod względem literackim ks. Piotr to homo novus, to postać bez genealogii, bez stosunków i bez oficjalnego stanowiska w dramacie. Jakaś szara eminencja.

Badania dawniejsze stwierdziły, że pierwotnie Improvizacja łączyła się z Widzeniem ks. Piotra, i że ks. Piotr gra część roli Konrada. Mówiono zarówno o psychologicznym uzupełnieniu Konrada, jak o moralnym wyrównaniu jego pychy przez pokorę zakonnika. Cenne są, nie ulega wątpliwości, wszystkie te spostrzeżenia. Potrzeba rozdziału ról wewnętrznych, to jedno z prajawisk psychicznych — w tym punkcie nasze życie wewnętrzne zdradza jakby powinowactwo z mechaniką teatru, z czego dobrze zdawała sobie sprawę spekulacja romantyczna. Fryderyk Schlegel był zdania, że naszemu najbardziej wewnętrznemu i najgłębszemu bytowi musimy przypisać charakter istotnie dramatyczny („Philosophische Vorlesungen insbesondere über die Sprache und das Wort“, Wien 1830, str. 59). W ten sposób genezę psychologiczną i moralną uzupełniano nieświadomie genezą teatrolologiczną.

Z literatury znamy wprowadzić takie pary jak Hamlet—Horatio, Otello—Jago, Don Kichot—Sancho Pansa, Don Juan—Leporello, Tasso—Antonio lub Faust—Mefistofeles. Nie postawilibyśmy wszakże pary Konrad—ks. Piotr w szeregu obok wymienionych. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że Konrad i ks. Piotr nie prowadzą równoległego, odrębnego życia. W wypadku Fausta i Mefistofelisa mówi się nawet o rozdwojeniu jaźni, jako podłożu tej pary (Carl Kiesewetter, „Faust in der Geschichte und Tradition“, Leipzig 1903). Zupełnie inny mechanizm psychologiczny i literacki przedstawia para Konrad—ks. Piotr.

Szczupłe są zewnętrzne jej dzieje. Gdy Konrad pada po Improvizacji, zjawia się ks. Piotr. Ratuje fizycznie i moralnie niedośzłego tytana i rozwija przed widzem nowe zasady tytanizmu duchowego, negatywnego, tytanizmu poświęcenia i ofiary. Pod koniec balu u Senatora następuje przelotne i ostatnie spotkanie Konrada z ks. Piotrem. Konrad odpoznaje ks. Piotra, jakby ze wspomnienia sennego. Jest to dramatyczna coincidentia oppositorum, scena o dużej wymowie symbolicznej. Następuje coś w rodzaju reintegracji Konrada (mówiąc stylem saint-martinowskim), powrót odrodzonego Konrada do pierwotnej roli. Ks. Piotr w modlitwie składa swój mandat na rzecz Konrada, mówi o zmianie ról. Święty ma wziąć na siebie winy grzesznika, a grzesznik wejść w zasługę świętego. Konrad i ks. Piotr nigdy nie występują razem; gdy jeden działa, drugi odpoczywa; pauza Konradowa przypada nawet na jego stan letargiczny, w którym się dzieją koszmarny egzorcyzmów. (Konrad nie jest pierwszym ani ostatnim romantykiem, który miewa sny konkretniejsze i bardziej wyraziste niż życie na jawie). Ekstazy charakter postaci ks. Piotra wywodzi się jakby z tej drugiej, niezmienskiej, w snach tylko bytującej połowy Konrada. Z momentem zetknięcia się obu protagonistów na jednej scenie zmienia się otaczająca ich atmosfera jakiegoś zaczarowania, ustaje rozdział osobowości, kończy się dwupostaciowość, znika z poematu ks. Piotr z atmosferą cudowności, a zaczyna się na nowo konkretne życie Konrada, jakby dalszy ciąg sceny więziennej: kibitka, Droga do Roci, Petersburg. Zauważmy, że równocześnie kończy się forma dramatyczna „Dziadów” — ta forma, której cechą charakterystyczną w romantyzmie było mieszanie świata realnego ze światem fantastycznym — a zaczyna się poemat opisowo-realistyczny („Ustęp”).

„Dziady” powstały w epoce romantycznej. Kiedy poezja mieszała się z życiem; zawierała dzieło tyle pierwiastków symbolicznych, świadomych i nieświadomych (na mocy związków genetycznych i filiacyjnych z mistyką i teozofią), iż nie waham się do motywu dwupostaciowości głównego bohatera przytoczyć jako paraleli pomysł Mickiewicza na temat duchów poetyckich obcowania, co niby wariantu Świętych Obcowania. Dnia 7 stycznia 1840 pisał Mickiewicz pół żartem a pół serio,

na pół poetycko a na pół mistycznie do Bohdana Zaleskiego o ciekawym spotkaniu się ich duchów w natchnieniu, w pomysłach literackim: „Ale, ale twój ów wieśsz senny, dziwna to dziwna i arcydziwna rzecz. Bo uważ, że ja kiedyś w auguście czy w sierpniu napisałem albo rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy w celu robienia pierwszej części „Dziadów“! Otóż rzecz ta sama: chłopiec tuła się między mogiłami. Tylko u mnie fantastyczniej, bo śpi, a chórem nad nim nucią i piotuny siwe i lebioda i ślimaki etc., etc. Inspiracja mnie opuściła i przestałem pisać. Twój ułamek, aż mnie nastraszył, tak jest ładny. Kto wie, czy ty teraz nas nie okradasz przez sen z wielkiej poezji? Kto wie, czy mocą teraz silniejszą nie ciągniesz do siebie całego ciepła i światła poetyckiego? I widzisz dlaczego my nie piszemy?” Jeszcze raz podobny passus znajdujemy w liście do Bohdana Zaleskiego z 25 grudnia 1840 r. Mickiewicz donosząc przyjacielowi o swej improvizacji na sławnej uczcie imieninowej u Januszkiewicza nie omieszczał dodać: „W tę chwilę duch poezji był ze mną. Chciałbym wiedzieć, co ty wczora robił i co myślał? bo mnie się zawsze widzi, że my we dwóch tylko jednego mamy ducha i że w jednym czasie nie możemy być poetami na ziemi. Bo choć duch jest wieczny, ogranicza się czasem, kiedy się w nas wciela”.

Zbadajmy bliżej literackie zadanie ks. Piotra w „Dziadach”. Mówiąc językiem teorii klasycznej tragedii, ks. Piotr ma dokonać „pojednania”. Od dawna zwrócono na to uwagę. Ograniczenie się wszakże do moralnej strony zagadnienia, to znaczy rozważanie tej kwestii w oderwaniu od samego dzieła literackiego, na dalszą metę okazało się bezpłodne. Skończyło się bowiem tylko na stwierdzeniu pojednania. Inaczej zresztą być nie mogło, bo bliższe określenie tego pojednania wymagało właśnie studiów literackich. Dla celów badawczych odróżniam tu pojednanie psychologiczno-ideologiczne od pojednania artystycznego. Pojednanie psychologiczno-ideologiczne to wewnętrzny, zamknięty, jakby uniezależniony od dzieła rozwój postaci, to dzieje indywidualne bohatera, linia rozwoju w czasie. Przez pojednanie artystyczne rozumiemy rozwiązanie żywota bohatera w układzie artystycznym dzieła, w całości stosunków panujących w poemacie; jest to więc aspekt „socjalny”, zespołowy żywot bohatera, żywot w perspektywie konkretnego utworu. Ideałem artystycznym jest pełne zestrojenie obu sfer.

Analiza głębsza prowadzi nas do wniosku, że uzupełnienie Konrada ks. Piotrem nie stanowi pojednania ideologicznego, jak to się dawniejszym komentatorom zdawało. Co więcej, dojdziemy do wniosku, że pojednania ideologicznego w III części „Dziadów” Mickiewicz osiągnąć nie mógł. Uzupełnienie Konrada ks. Piotrem jest to próba pojednania przez kontrast. Rozdwojenie Konrad—ks. Piotr to wybieg literacki, to próba pojednania artystycznego. Pod względem jednak psychologicznie-ideologicznym to tylko pozór pojednania. Ks. Piotr mówi wyraźnie:

Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik stary,
Sługa już spracowany i niegodny na nic.
Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary
A ja za jego winy przyjmę wszystkie kary;
On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe imię.

Na razie, tzn. w III części „Dziadów”, mamy tylko połowę zapowiedzianej zamiany ról; tylko ks. Piotr zastępuje Konrada i to wyrażnie w tym celu, żeby odpokutować i zmyć między innymi także grzechy jego literackiego wcielenia: brak pojednania dramatycznego. Prawdziwym pojednaniem ideologicznym byłaby ewolucja tej samej postaci.

Mickiewicz nie wyszedł poza fazę pozoru, bo podejmowane wielokrotnie próby kontynuowania „Dziadów” zawiodły. W ks. Piotrze, w mistyczno-religijnym symbolu tego pojednania, został nam tylko wskazany kierunek tej ewolucji; istotnie dokonała się ona po tej linii, ale poza twórczością literacką Mickiewicza. W towarzyszeniu dopiero Konrad, poeta, entuzjasta i człowiek świecki, zastąpił ks. Piotra w pracy nad winnicą Pańską.

Przyjrzyjmy się samemu zjawisku kontrastu. Pojęcie kontrastu zawiera w sobie nie tylko pojęcie przeciwieństwa, ale także pojęcie związku między ideami. Hume w „Badaniach dotyczących rozumu ludzkiego” pisał o kojarzeniu się idei dowodząc, że związek idei, zamaskowany w kontraście, można rozłożyć na zasadę przyczynowości i podobieństwa. „Gdzie dwa przedmioty są sobie przeciwne — zauważa — tam jeden z nich niweczy drugi, tzn., że przyczyna jego zniweczenia, idea zniweczenia jakiegoś przedmiotu zawiera w sobie ideę jego poprzedniego istnienia” (przekład polski, Lwów, 1905, str. 30, przypisek). Istotą kontrastu jest swoisty skrót. Jest to elizja natury pojęciowej. Działanie kontrastu podobne jest w pewnym sensie do działania metaforycznego, na którego istotę składa się obcość dwu obrazów, rzeczywistego i przenośnego, znoszących się nawzajem i wzajemnie sobie przez tę rywalizację umysłowych, które stanowią podstawy poetyckiego myślenia i tworzenia artystycznego. Dalszym wnioskiem będzie, że z dwu funkcji kontrastu — przeciwieństwa i związku idei — obie są równie ważne; jeśli nawet zamierzamy świadomie posłużyć się funkcją przeciwieństwa, to jest ona możliwa tylko dlatego, że równocześnie przyjmujemy funkcję związku.

Te dwa wnioski, jeden formalny o swoistym skrócie, jaki przedstawia każdy kontrast, a drugi o dwu odmiennych funkcjach kontrastu: rozdzielenia i łączenia idei, towarzyszyć nam będą w dalszych rozważaniach. Rozwiązanie problemu Konrada przez wprowadzenie na scenę ks. Piotra, to budowa kontrastowa. Jest to typowy skrót kompozycyjny — przede wszystkim uproszczenie motywacji. Łącznikiem między skontrastowanymi postaciami jest scena egzorcyzmów. Ten łącznik jest z kolei nowym skrótem psychologicznym. Wypędzenie diabła to ludowy prymitywny symbol przełomu duchowego. Widowisko rzecz biorąc, to skrócona ewolucja charakterologiczna. Jednostronny charakter tej ewolucji, bo nacechowany pogwałceniem woluntaryzmu przez klęskę słowem bożym, to następstwo skrótu.

Zauważmy przy tej sposobności, że nowożytna i ziemiska sfera teatru romantycznego zdradza skłonność do odrealniania widowiska; na odwrót część średniowieczna i ziemiska mocno tkwi w realizmie, jaskrawości i rubaszności i nie cofa się przed postawieniem ad oculos, przed steatralizowaniem takich wstydlivych zdarzeń życia wewnętrznego, jak tzw. „opętanie”.

Kontrastowa kompozycja występowała jeszcze wyraźniej w pierwotnym układzie („Dziadów” część III w podobiznie autografu Adama Mickiewicza, wyd. J. Kallenbach, Kraków, 1925). Widzenie ks. Piotra następowało tam bezpośrednio po egzorcyzmach; dziś te sceny rozdziela sen Ewy. Na posługiwanie się kontrastami w „Dziadach” zwrócono uwagę od dawna, tylko funkcję artystyczną kontrastu pojmowano ciasno, przy czym niemało zawiły zapewne analogie malarskie. Kontrast to jakby czynnik wyrazistości, rytmiki, urozmaicenia, ruchu niekończącego się, słowem romantycznej kompozycji otwartej. W ten sposób pojęty kontrast mógł tylko popierać powszechnie przyjętą tezę o luźnej budowie „Dziadów”. Jeśli spojrzymy na kontrast z zajętego przez nas stanowiska, to na jaw wystąpi również jego rola porządkująca i spajająca; kontrast tak pojęty będzie zasadą artystycznej konstrukcji wyższego rzędu. Polega ona na gwałtownym zespalaniu treści różnorodnych z ominięciem przebiegów i epizodów, na wielkiej elizji psychologiczno-charakterologicznej. Ta gwałtowność spięć — odpowiednik psychologiczny kontrastu — zabezpiecza romantyzm przed niebezpieczeństwem anarchizmu kompozycyjnego. Była to postać samoobrony sztuki. Gwałt niech się gwałtem odciska!

Luźną kompozycję przedstawiano zwykle jako dowód samowoli artysty romantycznego i jego nieograniczonego panowania nad tworzywem. Proponowane tu wyjaśnienie kontrastu nie narusza w niczym uprawnień romantycznego poety, a ma tę wyższość nad interpretacją tradycyjną, że podkreśla także

charakter twórczy, prometejsko-konstrukcyjny poety romantycznego, podczas gdy poprzednio akcentowano w geście samowładczym pisarza wyłącznie pierwiastek artystycznie destrukcyjny.

Podobną rolę odegrała zasada kontrastu w epoce baroku. Dynamizm woluntarystyczny (idący w parze z rozszerzeniem forum wewnętrznego, renesansowego, ściśle ludzkiego, o teatr piekła i nieba), psychomachia w zakresie charakterologii, gigantyzm wyobraźni, brak zmysłu konstrukcji w znaczeniu tradycyjnym — prowadziły do nowej zasady kompozycyjnej, której jedną z cech była kontrastowość. Głębiej rzecz biorąc była to równocześnie potężna więź artystyczna. Może dlatego, że w baroku na czoło sztuk wysunęła się plastyka, która wywarła także pewien wpływ na ogólną koncepcję artystyczno-literacką, odnajdziemy w piśmiennictwie epok późniejszych ślady analogii plastycznej, widoczne w ciasnym, jednostronnym, „plastycznym”, czyli nieliterackim rozumieniu kontrastu.

Jeden szczegół jednak wywodzący się z plastycznej teorii sztuki baroku znajdujemy w romantyzmie w jego funkcji właściwej: jest to iluzjonizm jako wynik kontrastu. Takie elementy jaskrawe barokowej sztuki jak perspektywizm i skrót znalazły swoje odpowiednie ściśle literackie właściwie dopiero w romantyzmie. Zasada wieloplanowości, wprowadzanie świata pozamysłowego, mieszanie rodzajów, zmiany miejsca ułatwiły rozwój poetyckiego iluzjonizmu z ducha kontrastowości, który to iluzjonizm począł nawet uchodzić za istotę literackości. Nie tu miejsce na szczegółową analizę iluzjonizmu „Dziadów”. Trzymamy się poruszanej ewolucji Konrada. Rozwój ten poprzez scenę egzorcyzmów to taki typowy skrót iluzjonistyczny w dziedzinie literackiej charakterologii.

Utwór tak woluntarystyczny, a równocześnie tak różnorodny treściowo jak „Dziady”, w kompozycji kontrastowej znajdował trafne rozwiązanie: z jednej strony dzięki ukrytej w kontraście zasadzie skrótu bronił przed rozpraszaniem się i rozwiekszością, a z drugiej stanowił czynnik wyższej, bo wewnętrznej, jakby organicznej koncentracji. Nowsze badania zmierzają do ukazania koncentrycznej budowy „Dziadów” (por. J. Kleiner „W Kręgu Mickiewicza i Goethego”, Warszawa, 1938). Badania te starają się grupować poszczególne luźne sceny w pewne większe całości, których ośrodkami są trzy główne aktoży: Konrad, Ks. Piotr i Senator. Po skonstruowaniu tego tryptyku dramatycznego rola kontrastu jeszcze bardziej wzrasta; oprócz łącznika drobinowego widzimy w nim także łącznik większych członów, myśl organizującą całość. Natomiast bez znaczenia dla naszych rozważań będą konstrukcje w stylu Zofii Niemojewskiej („Dziady Drezdeńskie jako dramat chrześcijański”, Warszawa, 1920), dążące do ustalenia jedności dzieła od strony moralnej lub ideologicznej, bo nas interesuje w tej chwili właśnie artystyczno-literacki sposób wyrażenia tej ideologicznej jedności.

Poeta romantyczny stawał przed trudnościami nie lada, gdyż krzyżowały mu się w dziele dwa plany: ziemski i nadziemski. Dwie ontologie i dwie psychologie. Do takich przecięć należał motyw przełomu duchowego, cudu wewnętrznego. Cud przełomu Konradowego został zapowiedziany. Czy się jednak naprawdę dokonał? Powinien się dokonać nagle i w trzewiach samych, bo jest cudem, ale równocześnie powinniśmy tę przemianę i jej poszczególne fazy zobaczyć na scenie. W spotkaniu się dwu postulatów: psychologicznego i teatralnego, jako paraleli ściśle literackiej do przecięcia się dwu planów psychologicznych: psychologii ludzkiej normalnej, zracjonalizowanej i nadziemskiej, irracjonalnej, krótko mówiąc — psychologii cudu, leży jeszcze jeden bardzo ważny powód, dlaczego Mickiewicz nie mógł dać innego rozwiązania problemu Konradowego poza rozwiązaniem iluzjonistycznym, wyrażonym w kontraście Konrad — ks. Piotr (por. uwagi Z. Matkowskiego o roli kontrastu w przedstawianiu przełomów duchowych u Mickiewicza — „Studia literackie”, Kraków, 1923, str. 56—57).

Wacław Kubacki

STANISŁAW A. MAJEWSKI

Polityka gospodarcza ZSRR

Plan i osiągnięcia trzeciego pięciolecia (1938-1942)*)

Opracowując plan trzeciego pięciolecia Gosplan wychodził z tych samych naczelnych zasad, jakie patronowały planowaniu i realizowaniu pierwszego i drugiego pięciolecia. Za punkt wyjścia posłużyły mu oczywiście faktyczne osiągnięcia gospodarki radzieckiej w r. 1937. Korzystał z dotychczasowych doświadczeń, szczególnie z niedociągnięć, przestępstw i błędów drugiego pięciolecia. Wreszcie, chcąc nie chcąc, twórcy trzeciego planu musieli jeszcze bardziej aniżeli w latach poprzednich brać pod uwagę wzrastające napięcie międzynarodowej sytuacji politycznej, które zapowiadało rychły wybuch drugiej wojny światowej.

ZASADY I WYTYCZNE

Geograficzne warunki kraju zajmującego 1/6 powierzchni ziemi, w dalszym ciągu, mimo osiągnięć w latach poprzednich, wysuwały na plan pierwszy rozbudowę środków komunikacji. Zagadnienie to przez wiele, wiele lat górować będzie nad wszystkimi innymi w Związku Radzieckim. Dostateczna bowiem ilość środków komunikacji stanowi nieodzowny warunek faktycznego i właściwego administrowania krajem. Bez racjonalnej i gęstej sieci linii kolejowych i dróg kołowych utrudniona jest eksploatacja wielkich bogactw naturalnych kraju i planowe budownictwo gospodarcze w ogóle.

Posiadanie nowoczesnych narzędzi produkcji jest obok środków komunikacji drugim nieodzownym warunkiem wykorzystania ogromnych bogactw naturalnych kraju. Szybkiego zaś, jak najpowszechniejszego uprzemysłowienia domagała się potrzeba dalszego **unowocześnienia kultury i dalszej przebudowy społecznej** narodów radzieckich. Carska Rosja, mimo swych bogactw, zajmowała za ledwie piąte miejsce w szeregu narodów uprzemysłowionych. Począwszy od XX wieku rosyjski proletariatus przemysłowy był wprawdzie klasą społeczną najlepiej w kraju zorganizowaną i najbardziej bojową, posiadającą stosunkowo więcej, aniżeli inne klasy, elementów uświadomionych społecznie i politycznie, ale licznie stanowił mniejszość w społeczeństwie. Opracowując teorię dyktatury proletariatu Lenin ani na chwilę nie tracił z oczu ideału demokracji. Według teorii i praktyki leninizmu okres dyktatury proletariatu stanowi wprawdzie konieczne, ale tylko przejściowe stadium w rozwoju historycznym. Doświadczenia rewolucyjnego wieku XIX pouczyły, że złudne są nadzieje na ewolucyjne, reformistyczne przejście od ustroju kapitalistycznego do socjalistycznego. Wbrew i dziejom reformistów i ich przewidywaniom kapitalizm zachodni od końca XIX wieku przekształcał się szybko w gospodarkę monopolistyczną. Oligarchiczne kartele, trusty i koncerny stawały się czynnikiem decydującym w życiu gospodarczym i politycznym. Władza parlamentów była coraz bardziej pozorną, a demokracja mieszczańska coraz bardziej fikcyjną: kartka wyborcza zamieniała się w bezwartościowy świstek papieru. Ze stanowiska leninizmu dyktatura proletariatu stanowi przejściowe stadium rewolucyjne, które prowadzi od fikcyjnej, czysto formalnej demokracji politycznej kapitalizmu monopolistycznego do realnej demokracji gospodarczej ustroju socjalistycznego.

Jednakże niesfałszowany sens demokracji oznacza sprawowanie władzy przez przeważającą większość społeczeństwa, a większość socjalistyczna możliwa jest tylko w kraju wysoko uprzemysłowionym. Tak więc idea szybkiego, wszechstronnego uprzemysłowienia kraju wiąże się najściślej z ideologią dyktatury proletariatu. W ujęciu dialektycznym dyktatura proletariatu dąży do jak najrychlejszej samolikwidacji przez stworzenie szerokiej, możliwie najszerszej bazy społecznej dla rzeczywistej demokracji socjalistycznej. Za dalszą, szybką rozbudową przemysłu, szczególnie ciężkiego, w trzecim pięcioleciu, przemawiało najsilniej **położenie geopolityczne** państwa. Zwycięska Rewolucja Październikowa postawiła nowe państwo radzieckie w wyjątkowej sytuacji międzynarodowej. Rozwój historyczny sprawił, że Związek Radziecki buduje gospodarkę socjalistyczną „w jednym kraju”. Kraj ten o rozmiarach kontynentu otoczony był ze wszystkich stron przez nieufne, albo wręcz wrogie mocarstwa, które do dawnych roszczeń imperialistycznych wobec carskiej Rosji dodały całkiem nowe, klasowe, wynikające z odmienności społecznego ustroju radzieckiego.

Stalin z nieublaganym realizmem wysnuł wszystkie konsekwencje z tej wyjątkowej sytuacji Związku Radzieckiego. Realizm przy-

świecał wszystkim radzieckim planom gospodarczym, szczególnie zaś planom trzeciego pięciolecia. Tymczasem bowiem monopolistyczny kapitalizm największego po Stanach Zjednoczonych mocarstwa na świecie przeszedł znamienną metamorfozę. Faszyści Trzeciej Rzeszy odrzuciwszy do lamusa puste formy demokracji mieszczańskiej, zamknęli w obozach koncentracyjnych nie tylko rewolucyjnych komunistów, ale i reformistycznych socjalnych demokratów i, nie zachowując nawet pozorów, wyznaczyli przedstawicielstwu parlamentarnemu rolę klaki teatralnej dla „führerów”. Jednocześnie przekreślili wszystkie zasady prawa międzynarodowego. W tym czasie właśnie, gdy układano i realizowano plan trzeciego pięciolecia, Trzecia Rzesza zajmowała kolejno — nie bawiąc się w formalności wypowiedzania wojny — Austrię, Czechosłowację, Kłajpedę; Włochy zaś Albanię, a Japonia — Chiny Centralne. Jednocześnie mocarstwa zachodnie, Anglia Chamberlaina i Francja Laval'a usiłowaly w Monachium skierować imperializm niemiecki na Wschód, na ZSRR, przyjmując prymitywną i jakże często zawodną maksymę wygarniania kasztanów z ognia cudzymi rękami.

UPRZYWILEJOWANIE PRZEMYSŁU CIĘŻKIEGO

Według sprawozdania złożonego przez Mołotowa na XVIII Zjeździe partii komunistycznej ZSRR w r. 1939 plan trzeciego pięciolecia przewidywał następujący przyrost roczny produkcji w najważniejszych gałęziach ciężkiego przemysłu:

Produkcja	Ilość jednostek	w r. 1937	w r. 1942	przyrost o
Maszyn do obróbki metali		36 000	70 000	67%
Lokomotyw dalekobieżnych		1 581	2 090	32%
Wagonów towarowych dalekobież.		58 800	90 000	53%
Samochodów		200 000	400 000	100%
Energii elektrycznej	miliardów kWh	36,4	75	106%
Węgla	milionów ton	127,3	230	81%
Nafty i gazu ziemnego		30,5	54	77%
Surówki		14,5	22	52%
Stali		17,7	28	58%
Wyróbów walcowanych		13	21	62%
Cementu	miliardów ton	5,5	10	83%
Wytworów chemicznych	miliardów rb*)	5,9	13,4	127%

Tabela ta wskazuje, że w planie tym na pierwsze miejsce wysunęła się chemia; przyrost produkcji chemicznej o 127% był nieomylnym znakiem nadchodzącej rozgrywki wojennej. Poza tym plan przewiduje duży przyrost produkcji cementu i źródeł energii — elektrycznej, węgla i ropy naftowej (przeciętnie około 60%). Zwraca też uwagę produkcja lokomotyw, której przewidziany przyrost jest najmniejszy, gdy produkcja samochodów zajmuje w tabeli drugie miejsce po produkcji chemikaliów. I w tym wypadku układano plan z myślą o bliskiej wojnie.

W dziedzinie środków transportu plan trzeciego pięciolecia przewidywał oddanie do użytku nowych 11 tys. kilometrów torów, elektryfikację 1840 km linii kolejowych, zasilenie taboru kolejowego przez 7370 lokomotyw, 178 tysięcy nowych wagonów towarowych i 12 tysięcy wagonów pasażerskich. Plan zapowiadał również normalną komunikację morską z Dalekim Wschodem przez Ocean Lodowaty, zwiększenie parku samochodowego z 570 tys. do 1 700 000 jednostek i wykształcenie dwóch milionów zsoferów. W pierwszym roku trzeciego pięciolecia wzrost tonażu transportu był duży, ale ciągle jeszcze nie wystarczający w stosunku do potrzeb. I tak w r. 1938 przyrost tonażu towarów wzrósł w porównaniu z r. 1913 o 300%, a przewóz pasażerów o 500%, natomiast długość linii kolejowych wzrosła w tym samym czasie o 34%. Wywołało to ogromne przeciążenie torów kolejowych. W Stanach Zjednoczonych przeciążenie torów kolejowych osiągnęło w r. 1929 rekordową cyfrę 1 557 000 ton na 1 kilometr. ZSRR pobił ten rekord dochodząc w r. 1937 do 4 179 000 ton na 1 kilometr. Takie niezwykłe przeciążenie musi siłą rzeczy pociągnąć za sobą przedwczesne zużycie torów, częste katastrofy kolejowe i przerwy w ruchu. O ciągle jeszcze niedostatecznej ilości kolejowych środków transportu świadczyć również następujące liczby porównawcze: w r. 1938 przypadało w ZSRR na 100 kilometrów kwadratowych — 0,4 km torów, w Stanach Zjednoczonych 4,8 km, w Polsce — 5,2 km; na 10 000 mieszkańców przypadało w ZSRR — 4,9 km torów, w Stanach Zjednoczonych — 29,3 km, w Polsce — 5,8 km. Wskutek dużego wzrostu globalnej sumy handlowych obrotów towarowych sytuacja w kolejnictwie nie wykazywała poprawy mimo wzrostu długości torów i ilości taboru.

Dane o realizacji planu w dziedzinie przemysłu ciężkiego są tylko częściowe i sumaryczne. Ogłoszone przez prasę radziecką i radio moskiewskie mówią o zrealizowaniu planu inwestycyjnego w ciężkim przemyśle do wysokości 70% w czasie do czerwca 1941 r. tj.

*) Podług cen r. 1926.

do dnia napadu Niemiec na ZSRR. Niemiec kie źródła informacyjne tak samo oszacowały wyniki realizacji trzeciego planu radzieckiego w dziedzinie ciężkiego przemysłu.

PRZEMYSŁ LEKKI

Wysuwanie na pierwszy plan ciężkiego przemysłu kolidowało z pragnieniem szerokich mas podniesienia stopy życiowej i ich tęsknotą do polepszenia i upiększenia życia codziennego. Te pragnienia i nastroje znalazły wyraz w krytyce uprzywilejowania przemysłu ciężkiego. Wobec krytyki tej zajął stanowisko Stalin w r. 1935: „Mielismy wśród nas towarzyszy, którzy mówili: Na co wasza industrializacja i kolektywizacja, wasze maszyny i wasza metalurgia, wasze traktory, kombajny i samochody? Dlaczego nie dajecie manufaktury? Dlaczego nie kupujecie więcej surowców dla produkowania artykułów konsumpcyjnych pierwszej potrzeby? Dlaczego nie dostarczacie ludowi tych drobnostek, które upiększają codzienną egzystencję człowieka? Zapewne moglibyśmy byli te 3 miliardy rubli w złocie, które uzyskaliśmy wskutek straszliwego zaciskania pasa, obrócić na import surowców i na produkcję artykułów pierwszej potrzeby zamiast ich użyć, jak to zrobiliśmy, na budowanie naszego przemysłu. To, co nam towarzysze ci przedstawiają, jest także „planem” swego rodzaju. Ale przyjmując taki „plan” nie mielibyśmy ani przemysłu metalurgicznego, ani budowy maszyn, ani traktorów, ani samochodów, ani lotnictwa, ani tanków. Bylibyśmy bezbronni wobec naszych wrogów zewnętrznych i podkopalibyśmy bazę socjalizmu w naszym kraju.”

A gdy się okazało, że drugi plan w dziedzinie przemysłu produkującego artykuły pierwszej potrzeby został wykonany tylko w 85%, Mołotow uzasadniał to niedociągnięcie w sposób następujący: „Musimy znowu stwierdzić, że w czasie wykonywania drugiego planu pięcioletniego rozbudowa przemysłu ciężkiego była o wiele szybsza, aniżeli wzrost przemysłu wytwarzającego artykuły konsumpcyjne pierwszej potrzeby. Realizując drugi plan pięcioletni byliśmy zmuszeni do wprowadzenia ważnych zmian w pozycjach odnoszących się do przemysłu ciężkiego. Tak jak w latach pierwszego pięciolecia, tak i tym razem musieliśmy pod presją sytuacji międzynarodowej przyspieszyć rytm rozbudowy obrony narodowej. Jak wiadomo z deklaracji tow. Woroszyłowa, osiągnęliśmy w tej dziedzinie dość poważne wyniki. W tym celu musieliśmy znacznie wzmocnić potencjał naszego przemysłu ciężkiego, co w pewnej mierze trzeba było zrobić kosztem przemysłu lekkiego. Za to zmusiliśmy najbardziej agresywnych imperialistów do większego liczenia się ze Związkiem Radzieckim.”

Plan trzeciego pięciolecia przewidywał następujący przyrost produkcji najważniejszych artykułów przemysłowych pierwszej potrzeby:

Produkcja	Ilość ton	w r. 1937	w r. 1942	przyrost o
Papieru		832 000	1 300 000	56%
Tkanin bawełnianych	milionów metrów	3 442	4 900	42%
Tkanin wełnianych		105	175	67%
Obuwia skózanego	par	164	235	43%
Cukru kryształowego	ton	2,4	3,5	44%
Konserw	puszek	873	1 800	106%

Brak nam szczegółowych danych o tym, w jakiej mierze wykonano plan produkcji artykułów pierwszej potrzeby. Biorąc jednakże pod uwagę nastroje wojenne i sytuację międzynarodową ZSRR w latach 1938-1941, można przypuścić, że w porównaniu z ciężkim przemysłem przeprowadzenie tego planu wypadło znacznie mniej korzystnie aniżeli w dwóch poprzednich pięcioleciach.

PRODUKCJA ROLNA

Ogólna suma przeznaczona na inwestycje w rolnictwie wynosiła w planie trzeciego pięciolecia 10 miliardów 700 tysięcy rubli, licząc podług cen z roku 1926. Była ona niższa, aniżeli suma inwestowana w rolnictwie podczas drugiego pięciolecia. Zmniejszając inwestycje w rolnictwie pamiętano też o przemyśle ciężkim.

W dziedzinie motoryzacji rolnictwa zaznaczył się podczas trzeciego pięciolecia charakterystyczny zwrot, zasługujący na uwagę. Motoryzacja rolnictwa zaoszczędziła wiele ludzkich sił roboczych. Rozbudowa przemysłu musiała pociągnąć za sobą równoczesną motoryzację produkcji rolnej. Niezmotywowane rol-

nictwo nie mogłoby zwolnić rąk roboczych potrzebnych w szybko rozbudowującym się przemyśle — bez wydatnego ograniczenia i uszczuplenia bazy żywnościowej kraju. Ograniczenie takie było tym bardziej niedopuszczalne, że Związek Radziecki musiał eksportować produkty rolne, aby pokryć wydatki związane z zakupem sprzętu przemysłowego za granicą. Ale przy dzisiejszym stanie techniki motoryzowana gospodarka rolna może być tylko ekstensywna, o małej przeciętnej wydajności. W Stanach Zjednoczonych zmotywowane rolnictwo wykazuje również niską wydajność wahaającą się w granicach 8-10 q z hektara, zależnie od warunków atmosferycznych. Przeciętna wydajność z ha w ZSRR jest mniej więcej taka sama. Poza tym okazało się, że orka przy pomocy traktorów jest korzystna tylko tam, gdzie warstwa uprawnej ziemi jest dość głęboka, a więc na terytoriach centralnych i południowych ZSRR. Natomiast na północy i na Kaukazie, gdzie warstwa ta jest cienka, koń jako siła pociągowa o wiele lepiej spełnia to zadanie aniżeli traktor. Toteż końchozy na tych obszarach coraz natęczywiej domagały się przywrócenia konia jako siły pociągowej. Fachowe publikacje uzasadniały więc w okresie trzeciego pięciolecia konieczność bardziej elastycznego systemu mechanizacji i wprowadzenia na niektórych obszarach obok traktorów również koni. W tym też kierunku poszła praktyka: w ciągu jednego roku 1938 ilość koni używanych w kolchozach wzrosła o 7%.

W okresie trzeciego pięciolecia radziecka gospodarka rolna podsumowała jeszcze inne nader ważne doświadczenia. Intensywna gospodarka indywidualna kolchoźników na działkach o wiele bardziej sprzyjała hodowli pogłowia, aniżeli ekstensywna gospodarka w kolchozach. W r. 1935 obszary uprawiane przez kolchozy stanowiły 79% ogólnej uprawnej powierzchni, gdy ilość krów w kolchozach wynosiła zaledwie 17,6% ogólnej ilości, ilość świń — 21,9%, ilość owiec i kóz — 30,4%. Działki indywidualne kolchoźników zajmowały zaledwie 3,3% ogólnego uprawnego obszaru, ale pogłowie na nich hodowane wynosiło 55,7% krów, 42% świń, 40% owiec i kóz — ogólnej ilości ZSRR. Ten stan rzeczy potwierdził w pełni gospodarczą celowość dekretu z r. 1932, znanego pod nazwą „dekretu o jedynej krowie”, który uprawniał każdą rodzinę kolchoźniczą do indywidualnego chowania jednej krowy. Nowy dekret z 18 lutego 1935 r. o statucie kolchozów ustalił następujące normy indywidualnej hodowli pogłowia: jedna krowa, dwoje cieląt, jedna świnia z warchlakami i 10 owiec. Dla rejonów specjalnych, szczególnie dla tych, w których hodowla stanowi zajęcie główne, albo równorzędne z uprawą roli, zezwolił on na indywidualny chów znacznie większej ilości pogłowia.

Rozwój produkcji rolnej i hodowli pogłowia odczytać można z tabeli (patrz str. 3).

Jak widać, Gosplan zmniejszył w trzecim pięcioleciu obszary zbożowe o blisko 4,5% w porównaniu z rokiem 1937. Jednocześnie przewiduje on stopniowe przejście, przynajmniej na niektórych obszarach, od gospodarstwa ekstensywnego do — intensywnego, co w rezultacie powinno dać wzrost wydajności z hektara oraz powiększenie globalnej ilości zbiorów. Zredukowane obszary zbożowe przeznaczano na plantację roślin przemysłowych. Według informacji radia moskiewskiego produkcja tych roślin osiągnęła w roku 1939 nastę-

pujące wyniki: buraków 211 milionów q (w r. 1913 — 190 milionów q), bawełny 27 mil. q (w r. 1913 — 7,4 milionów q), lnu — 6,3 mil. q (w r. 1913 — 3,3 mil. q).

W r. 1938 zanotowano dość znaczne obniżenie zarówno przeciętnej wydajności z hektara jak i globalnej ilości zbioru zbóż. Według radzieckich publikacji należało to przypisać okoliczności, że kolchoźnicy niewłaściwie pojęli intencje dekretu z 18 lutego 1935 r. Dekret ten zawierał nowy statut kolchozów „koordynujący interesy prywatne kolchoźników z interesem społecznym kolchozów”. Nowy statut przyznawał kolchoźnikom prawo do indywidualnego gospodarowania na działkach wielkości 1/4 do 1 ha. Po ukazaniu się dekretu kolchoźnicy w wielu rejonach zajmowali bezprawnie znacznie większe obszary pod indywidualne działki. Hodując na swych działkach ilość pogłowia znacznie przekraczającą normy, które ustanowił dekret, kolchoźnicy nie wywiązywali się ze swych obowiązków wobec gospodarstw kolektywnych. Dekret z 27 maja 1939 zabraniał zwiększania obszarów działek i ilości pogłowia ponad normy,

*) Artykuł ten jest dalszym ciągiem pracy zamieszczonej pod tym samym tytułem w nr. 8 „Odrodzenia” z dnia 5 maja 1945 r.

Dane statystyczne pochodzą z książki Léon Wengera „L'essor économique de l'URSS depuis la Révolution d'Octobre 1917 jusqu'à la guerre germano-russe de 1941”, Paris, 1945. Niektóre liczby dotyczące osiągnięć gospodarczych w drugim pięcioleciu, przytoczone tutaj za Wengere, nieznacznie odbiegają, in plus lub in minus od zestawień statystycznych Ponieriego, na których opierał się artykuł poprzedni. Niezgodność ta nie ma znaczenia dla opisu rozwoju gospodarczego ZSRR.

Produkcja względnie hodowla	Ilość	r. 1928	r. 1932	r. 1937	r. 1938	r. 1942 (plan)
Zbóż:						
Obszar zasiewów	million ha	92	99	104	102	100
Wydajność z ha	q	7,9	7	10,4	8,3	11,7
Zbiory całkowite	million q	733	698	1082	854	1170
Bawełny:						
Obszar zasiewów	tysiący ha	971	2172	2092	*)	*)
Wydajność z ha	q	8,5	6,9	13,8	*)	19
Zbiory całkowite	million q	8,2	12,7	25,8	26,9	32,9
Koni	millionów	33,5	19,6	16,7	17,5	22,5
Bydła rogatego	"	70,5	40,6	57	63,2	79,8
Owiec i kóz	"	146,7	52,1	81,5	102,5	170,7
Nierogaczyny	"	26	71,6	22,8	30,6	45,6

przewidziane w dekrete z 18 lutego 1935 r. W myśl tego nowego dekretu kołchoźnicy, którzy wykazą się mniejszą ilością dni pracy na kołchozach, aniżeli to przewiduje statut, tracą prawa członkostwa w kołchozach a tym samym indywidualne działki.

POD HASŁEM OSZCZĘDNOŚCI

W r. 1931 pismo radzieckie „Za industrializację” zamieściło następującą wypowiedź amerykańskiego inżyniera Wulfa, który jako „spec” był zatrudniony przy budowie ogromnej fabryki maszyn rolniczych w Rostowie: „Z waszej własnej inicjatywy rozbudowaliście fabrykę na przestrzeni 257 ha. Aby dostać się z jednego zakładu do drugiego, trzeba przejść prawdziwy Broadway. Zużyliście niepotrzebnie ogromnych ilości żelaza, cementu i drze-

wa. My w Ameryce budujemy 4 domy z tych materiałów, które wam są potrzebne na jeden. Byłbym się podjął wybudować waszą fabrykę z przetargu i byłbym się zadowolili tytułem wynagrodzenia tylko jedną czwartą częścią oszczędności wynikłych z normalnego wykonania pracy. Byłoby mi to przyniosło tak dużo pieniędzy, że nie wiedziałbym, co z nimi zrobić.”

Mówiło się więc i dawniej o potrzebie oszczędnego gospodarowania elementami produkcji — pracą ludzką, energią, surowcami i w ogóle groszem publicznym. Jest rzeczą powszechnie znaną, że rozrzutność i niegospodarność to dziecięca choroba społeczeństwa lub unarodowionej gospodarki. Podczas trzeciego pięciolecia wszczęto prawdziwą kampanię oszczędnościową. W sprawozdaniu złożo-

nym w r. 1939 Mołotow oświadczył: „Dotąd panują u nas duże luzy w kalkulacji ekonomicznej. Nasze wydatki są nadmierne i marnujemy niesłychaną ilość surowców. Niesłychanie rozrzutnie zużywa się duża ilość pędnego paliwa i energii elektrycznej. Zdarzają się niedopuszczalne przerwy w użytkowaniu naszego sprzętu. To wszystko wskazuje, że w wielu wypadkach nie czyni się rzeczywistego wysiłku dla zredukowania cen kosztów własnych, albo kosztów nowych budowli.” Za przyczynę tego stanu rzeczy Mołotow uważa niedbalstwo administracji a także wypadki sabotażu. Piętnuje też „gigantomanie gospodarczą”, która zamiast liczyć i mierzyć, daje się ponieść fantazji.

Szczególnie pilną rzeczą okazało się w trzecim pięcioleciu oszczędzanie przetworów ropy naftowej. Postępy w motoryzowaniu kraju spowodowały tak duży wzrost zapotrzebowania na płynne materiały pędne, że Związek Radziecki coraz bardziej ograniczał eksport ropy naftowej. Roczna produkcja ropy potroiła się w ciągu trzech pięcioleci, ale gdy eksport do Francji (największego odbiorcy) wynosił w r. 1932 milion ton — przy 20 milionach ton rocznej produkcji, to w r. 1939 spadł on do 100 tys. ton, jakkolwiek produkcja w tym roku osiągnęła 30 milionów ton.

Pewna kategoria zachodnio-europejskich i amerykańskich ekonomistów i socjologów, śledząc ową kampanię oszczędnościową

i w ogóle niedociągnięcia w gospodarce radzieckiej, zapomina o tym, że każda nowa forma ustroju gospodarczego musi przejść — tak jak młody organizm — wiele przykrych chorób dziecięcych. Gdy na przełomie XVIII i XIX wieku, w okresie przekształcania się zachodnio-europejskiej gospodarki w kapitalizm rozwinięty, koncentracja i motoryzacja warsztatów pracy „kładała” samodzielne rzemiosło i półsamodzielne chałupnictwo, zdeklaszowani rzemieślnicy, przechodząc do pracy w fabrykach, niszczyli podstępnie i jawnie maszyny, widząc w nich pomysł szatana. Ustrój kapitalistyczny nigdy z gigantomanii nie wyrósł. Przeciwnie, rozwijała się ona wraz z nim i przekształciła się w brzydką chorobę starczą. Co prawda, gigantomania występująca w ustroju kapitalistycznym ma swoje cechy: zapadają na nią nie fantaści, ale zimni, wyrafinowani kombinatory. Znane są gigantyczne przedsięwzięcia dla celów spekulacyjnych. Jedno z nich stało się nawet przysłowiem — Panama!

Dzieje gospodarki są jednocześnie historią uczenia się i eksperymentowania. Za naukę i doświadczenia trzeba płacić. Tym więcej — im gruntowniejsza jest nauka i im większy rozmach doświadczeń. Według praw rządzących wszystkim co żyje — przyszłość należy do odważnych, którzy zmierzają do nowych doskonałych form życia, nawet za cenę kosztownych doświadczeń.

Stanisław A. Majewski

JERZY ANDRZEJEWSKI

Zagadnienie polskiego antysemityzmu *)

4

Odczuwanie przez Polaków swojej wyższości nad Żydami obejmuje ogromną skalę najróżnorodniejszych reakcji, od pobłażliwej, prawie przyjaznej kpiny, żartu i niefrasobliwego humoru począwszy, poprzez drwinę, satyrę i sarkazm, aż po wyraźnie już wrogie odruchy lekceważenia, pogardy i wstrętu.

Jedną z tradycyjnych postaci polskiej szopki i jasełek jest śmieszny wsiowy żydek w chałacie, najczęściej zresztą sympatyczny, mi cechami obdarzony. Akcent żydowski jest przedmiotem żartów i pokpiwania we wszystkich warstwach społeczeństwa polskiego. Żydowski sposób mówienia rozśmiesza zarówno intelektualistę jak chłopą, małego smyka i staruszka. Śmieszny był dla Polaków chałat i galicyjskie pejsy. Stwierdzono, że Żydzi są tchórzami i uznano to za bardzo komiczne. Tak typowe dla polskiej prozy dziewiętnastowiecznej postacie Żydów jak pachciarz, pośrednik, drobny kupiec, wędrowny handlarz, to sylwetki z reguły pocieszne. Na tej płaszczyźnie stosunku Polaków do Żydów, płaszczyźnie jeszcze pobłażliwej, nieomal, jak wspominałem, przyjaznej, nieraz nawet nasyconej sentymentem, wszystko jest dla Polaków w Żydach zabawne. Śmieszna jest maca i ruda peruka starej Żydówki, do śmiechu pobudza majufes, karp na szaro, obrzezanie, przywiązanie do pieniędzy, zdolność do handlu i interesów, szabas i kucki, spryt żydowski, rabini, brud, chęć asymilowania się, odbywanie przez Żydów służby wojskowej... słowem wszystko, co Polacy słusznie lub niesłusznie za cechy i właściwości żydowskie i żydowski obyczaj uznali. Myślę, że nie rozminę się z prawdą, jeśli powiem, iż nie ma Polaka, który by w mniejszym lub większym stopniu nie posiadał w swoim stosunku do Żydów tego elementu zabawowego, wynikającego z poczucia własnej wyższości. Więcej, tę skłonność do ośmieszania Żydów i pokpiwania z nich przyjmują od Polaków niezwykle łatwo i ci Żydzi, którzy wyszedłszy z nędzy ghettą stają się klasą posiadaczy, albo wspólnie z Polakami wchodzą na drogę asymilacji. Jak wiadomo najlepsze przedwojenne kawały o Żydach tworzone były przez polskich pisarzy pochodzenia żydowskiego.

Czy to jest antysemityzm? Być może skłonni bylibyśmy twierdzić, że to nie jest antysemityzm, ponieważ w ciągu lat ostatnich przyzwyczailiśmy się pojmować przez antysemityzm zjawiska nieporównanie groźniejsze od dowcipów i kawałów. Nie sądzę jednak, aby należało nie doceniać lub lekceważyć w stosunkach ludzkich takich spacerów, w których dzisiaj wprawdzie pobrzmiwa jeszcze niewinny śmiech, lecz już jutro zadźwięczeć może ostry krzyk pogardy i wrogości. Kto kpi z drugiego człowieka, łatwo przy sprzyjających okolicznościach może go kopnąć i obić kijem. Od drwiny do pięści droga nie jest bardzo daleka i karkołomna.

Śmiech na pewno jest rzeczą zdrową, o ile jest humorem. Ale humor prawdziwy wynika z ludzkiej solidarności. Natomiast drwiący żart i kpina nie potrzebują oparcia tak mocnego i rzetelnego. Prześlizgują się zazwyczaj po powierzchni życia, obojętne na hierarchię wartości. Humor jest rzadki. Towarzyszy ludziom, którzy wiedzą czego chcą i cenią moralne wartościowanie. Kpina, żart i podśmiewanie się zalewają ludzi tym natrętniej, im ludzie są słabsi i lichsi. Chichot, to odwet za nabość, albo broń sztucznie wywyższonych. Istnieje zatem wiele powodów do poważ-

niejszego zamyślenia się, gdy zbiorowość tak wielka, jaką jest naród, zdradza na pewnym odcinku życia zdumiewającą jednomyślność w kpinie i żartach. Czyżby Żydzi byli rzeczywiście tak zabawni? Ale w którymż narodzie i w jakim człowieku nie ma elementów śmiesznych? Na pewno i w Żydach jest wiele śmieszności. Lecz ponad Żydami śmiech i drwina zbyt często rozbrzmiewają w taki sposób, w jaki nierzadko uderza wesołość w ułomność lub kalectwo. Żartując i pokpiwając z żydowskiego akcentu, z Rappaporta i rudej peruki nie trzeba było myśleć o nędzy żydowskiego proletariatu i wszystkich poniżeniach i cierpieniach, jakie Żydzi na swoich barkach dźwigają. Kpina bywa dobrym środkiem nasennym dla sumień. W czasie okupacji nad wagonami, wiozącymi Żydów do Majdanka i Treblinki, także padały nieraz dowcipy i pobrzmiwały makabryczny śmiech.

Nie, trudno powiedzieć, iż ludzie, którzy puszczali wówczas w obiegu dowcipy o Żydach, pragnęli ich śmierci i pochwalali hitlerowskie zbrodnie. Z pewnością większość z nich potępiała niemieckie szaleństwo. Ale nawet nie solidaryzując się z bestialstwem, nawet z narażeniem własnego życia śpiesząc Żydom z po-

mocą, nie otrząsnęli się Polacy — i to ci najłepszy i najczujniejszy — z tradycyjnego w Polsce stosunku do Żydów. Jakże często, chociaż wśród jakże innych dekoracji, intelektualista wybuchał w owych latach śmiechem polskiego szlachcica natrząsającego się ze swego pachciarza, a ćwierćinteligent odruchowym słowem i gestem wywoływał swoich wiejskich przodków. Były to przedziwne chwile, gdy ponad mury ghettą, pomiędzy ogniem i śmiercią, w głąb najciemniejszych dołów upodlenia i cierpienia, wślizgiwał się cień historii już umarłej, a przecież nagle ożywionej w głosach tych nawet, którzy wiele z historii swego narodu potrafili potępić, uznając za konieczne oprócz życia na nowych prawach społecznych i gospodarczych.

Śmieszny żydowski akcent i ruda peruka starej Żydówki mają odległą tradycję. Jakżeż to było na wsi? Dla dworu szlacheckiego Żyd był wygodną kreaturą, wytrwałą, oddaną i pracowitą, która pośredniczyła w sprzedaży, dostawach i ułatwiała wszelkie finansowe transakcje, oraz pożyczki. Żydek, nawet lubiany, był ostatecznie tylko śmieszną i nie znaczącą figurką, przedmiotem lekceważenia i pogardy, w najlepszym razie obiektem

żartów i typowo polskiej, nie zobowiązującej do niczego, a wszystko zle rozgrzeszającej sentymentalnej czułości. Ach, sentyment polski, ten dziwny potworek, który ludziom bez rozumu i serca pozwala się łudzić, iż posiadają i rozum i serce. Polak łatwo się wzrusza i roni łzę. Gdy ich uroni dwie, jest we własnym poczuciu najszlachetniejszym człowiekiem na świecie. Literatura polska dziewiętnastego wieku pełna jest takich tanich filosemickich akcentów, rzadko bardzo i tylko u najszlachetniejszych i najmądrzejszych pisarzy zstępując głębiej w rozumienie istotnych wartości ludzkiego współżycia. Polacy lubią mówić o braterstwie, więc chętnie je w życiu codziennym rozmieniają na najtańszą, efektownie brzmiającą, lecz pustą monetę.

Nie chciałbym, o co u nas łatwo, zostać złe i fałszywie zrozumiany. Nie pragnę szkłować swego narodu. Każde z gorzkich słów, które tu pada pod adresem Polaków, uderza i we mnie samego. Mówię, co myślę i czego mnie nauczyło życia na tej ziemi. Pragnę jednego tylko: nakłonić moich rodaków do zastanowienia się nad zagadnieniem, w którym jak promienie w małym szkiełku ogniskuje się tak wiele naszych braków, wad, skaz i ułomności. Nie uwolnimy się od zaborczych i daleko sięgających macek własnej historii dopóki nie przełamiemy w sobie tych wszystkich spacerów, które nam historia wszczepiła. Zagadnienie polskiego antysemityzmu przetrasta swoją rozległością i doniosłością problem stosunku Polaków do Żydów. Jest jednym z aspektów stosunku człowieka do człowieka, stosunku do ludzkich wartości, do pojęć tak ostatnio poniewieranych, a przecież dzisiaj, mimo tylu jeszcze zadrażeń i nieporozumień, znowu zakwitających nowymi wartościami, jak sprawiedliwość, wolność, szacunek. Spoczywa na nas większy ciężar odpowiedzialności niż na tych z przyszłych pokoleń, których nowe warunki społeczne i obyczajowe od dzieciństwa być może kształtować będą i wychowywać w doskonalszych niż nasze pojęciach ludzkiego współżycia. Żyjąc na przełomie i pierwsze zaledwie fundamenta jutra stawiając, czuć musimy, aby nowych form społecznych nie wypełniać treścią starych nawyków. Organizacja własnych umysłów i serc wydaje się równie doniosła i nagła, jak organizacja porządku społeczno-gospodarczego. Bez uznania i potwierdzenia niewzruszonych wartości życia nie damy najdoskonalszym nawet prawom nic poza skostnieniem i złudnymi pozorami życia.

Problem polskiego antysemityzmu zrozumieć można i ocenić tylko na tle historycznym. Oderwany od tego podłoża wydać by się musiał niepojętym dziwologiem. Antysemityzm wyrósł u nas ze specyficznych układów klasowych i z tych wszystkich nawyków myślowych i uczuciowych, które dzięki owym układom kształtowały umysłowość polską i polską obyczajowość. Wspominałem o wiejskich warunkach i tym charakterystycznym uczuciowo-rozumowym stosunku, jaki zawiązywał się pomiędzy dworem i wiejską czy małomiasteczkową ludnością żydowską. Znow dla chłopą, który w wielu wypadkach posiada te same, a przynajmniej bardzo zbliżone reakcje co warstwa ziemiańska, Żyd-faktor, Żyd-sklepikarz, Żyd-karczmarz, jako nieosiadły na ziemi, lekceważony przez dziedzica, a ponadto posiadający inne obyczaje i inną, wrogą w stosunku do katolicyzmu religię — także był postacią zabawną, pozwalającą pomiać sobie, lecz do tego tylko momentu, dopóki pozostawał dość biedny, aby się nie stać groźnym. Otóż i to: groźny, niebezpieczny!



HELENA SOŁTANOWA

Pejzaż

*) Por. pierwszą część w numerze poprzednim „Odrodzenia”.

LEOPOLD STAFF

ZBIEG

Pomóżcie mi wejść na drzewo.
Jestem chromy,
Chodzę o kuli,
Zwichnęli mi rękę lewą.

Gdym mijał w ucieczce domy,
Unosząc życie jednogodzinne,
Przemiennie mnie szczuli.

Bc płaszcz od wróżki miałem,
Drogi jak miasto rodzinne.
W mróz krył mi ciało gołe,
Mogłem utulić w nim głowę.

Napadli mnie, gdy spałem.
Odciepli mi płaszcza połę,
Odciepli mi serca połowę.

FLET

Człowiek bardzo święty i pobożny
W modlitwie i czuwaniu
Całym wysiłkiem duszy
Myślał w zachwycie o Bogu
Pragnąc się z nim zjednoczyć
I wyraz dać swej tęsknocie.
Trudził się przez czas długi,
Wreszcie dał temu pokój.
Doszedł do przekonania,
Że łatwiej to wygrać na flecte.

FALE

Nimfa spała nad źródłem i feraz jest sama
Wodą, w której się obłok odbija różowy.
Daremnie płała liści swych ruchomą plamą
Sili się ukryć w cieniu jej powab widmowy.

Fale zmienne igrając słoneczne pierścionki
Nawlekają na chwiejne kędziory jej włosów
I w cielistą mozaikę tamią płynne członki
Stopione drzew szmaragdem z turkusem niebiosów.

Na brzegu porzucona leży fletnia z kory.
Z śmiercią pasterza zmilkły w niej miłosne duchy
I złote pszczoły w nieme wglądając otwory
Szukają próżno w głębi miodu pieśni głuchej.

W Polsce dopóki Żyd był biedny, słaby i nędzny, dopóki można się nim było wysługiwać, dopóty był śmieszny i zabawny, nieraz nawet sympatyczny, jak owi tradycyjni wsiołowi i z małych miasteczek Strule. Zjawisko to można zaobserwować zarówno w naszych stosunkach wiejskich, jak i miejskich. Żyd sprzedający starzyznę na podwórkach jest postacią raczej sympatyczną i zabawną. Tak samo Żyd-drobny sklepikarz, czy Żyd zaplątany w małe, groszowe zarobki przy giełdzie. Z chwilą natomiast, gdy polski Żyd wyzwał się z nędzy i sięga po wyższe, odpowiedzialne stanowisko, staje się kapitalistą, lub wybija się w hierarchii intelektualno-artystycznej, poczucie wyższości Polaków w stosunku do takich Żydów ulega bardzo szybko zachwianiu i zmienia się w dokuczliwy kompleks niższości. Na tej płaszczyźnie doświadczeń rzadko już rozbrzmiewa niefrasobliwy śmiech. Gdy Polak się śmieje z ministra, bankiera lub wybitnego pisarza pochodzenia żydowskiego, śmiech jego jest całkiem inny od tego, który uderzał w pachciarza lub w sprzedawcę starzyzny. Jeśli w śmiechu tym rozbrzmiewa jeszcze lekceważenie, to nieporównanie silniej i ostrzej dźwięcza w nim akcenty niechęci, wrogości, zawiści, zagrożenia.

Pamiętamy dobrze argumenty, którymi kłapał i fermentował przed wojną polski bojowy antysemityzm. W świetle tej zacieklej i hałaśliwej propagandy, Żydzi w Polsce urastali do rozmiarów ciemnej i złowrogiej potęgi, która fatalnie ciąży nad całym naszym życiem, zatruwa je i wypacza, stając się jeśli nie wyłączną, to w każdym razie jedną z nadońioślejszych przyczyn wszystkich niedomagań naszej państwowości. To Żydzi mieli nadkruszać i degenerować zdrową jakoby polską moralność. Żydzi wrogo do Polski nastawieni skupiali w swych rękach przemysł i handel, oni opanowali cały kapitał, Żydzi nadawali ton sztuce i literaturze, Żydzi zajmowali większość kierowniczych stanowisk; Żydzi wreszcie prowadzili tzw. antypaństwową, wywrotową, komunistyczną robotę. Nie da się zaprzeczyć i nie ma żadnego powodu do skrywania faktu, iż w okresie międzywojennym Żydzi rzeczywiście odgrywali znaczącą rolę w naszym życiu gospodarczym i kulturalnym. Nie to jednak decyduje o obliczu i przejawach polskiego antysemityzmu. Charakterystyczne dla naszego antysemityzmu jest wydzielenie Żydów z całości państwowego organizmu, wrogie ich traktowanie, jako elementu niebezpiecznego i szkodliwego, przy zupełnym jednocześnie oderwaniu poszczególnych faktów od całokształtu bieżących problemów społecznych, gospodarczych i obyczajowych.

Ogromny procent społeczeństwa polskiego, ulegając ślepo propagandzie antysemickiej, która bardzo celnie trafiała w tradycyjną u nas niechęć do Żydów, zupełnie sobie nie uświadamiała, iż kapitalizm żydowski zarówno swoją strukturą jak metodami działa-

nia i walki w niczym się nie odróżnia od kapitalizmu polskiego. Dla większości Polaków groźny i niebezpieczny był bankier, przemysłowiec i fabrykant pochodzenia żydowskiego, natomiast ani groźnym ani szkodliwym społecznie nie wydawał się ogółowi taki sam kapitalista Polak. Wśród rozjątrzeń i zadrążeń antysemickich uchodził uwagi najoczywistszy fakt socjalny, iż analogiczne układy społeczne kształtują, bez względu na przynależność rasową czy narodowościową, podobny w wielu dyspozycjach psychicznych typ człowieka. Ponad wszystkimi różnicami lokalnymi, których nie trzeba nie doceniać, istnieje jednak silna więź klasowa, która zaciera granice narodów i ras, i na całym świecie upodabnia do siebie arystokrację, urzędników, bankierów, rentierów, chłopów, i robotników.

Czyż trzeba wyliczać te wszystkie wady i przywary, którymi antysemityzm polski obarczał i nadal obarcza Żydów? Bywały wśród nich zarzuty słuszne, były także powierchowne, lub wręcz kłamliwe i krzywdzące. Wiele z nich, uchodzących w pojęciu Polaków za cechy specyficznie żydowskie, okazały się zupełnie nieistotnymi, gdy ci sami Żydzi wyemigrowali z kraju i w nowych warunkach podjęli na ziemi palestyńskiej nowe obowiązki. Wiemy, iż wyrastało tam nowe pokolenie Żydów zdrowych fizycznie i moralnie, ludzi pracujących z entuzjazmem na roli, doskonałych sportowców o śmiałych i ujmujących rysach, w niczym nie przypominających rachitycznych dzieci z brudnych sutekryn żydowskiego proletariatu, lub aroganckich złotych młodzieńców z żydowskiej plutokracji, synów bankierów i przemysłowców, którzy za ciężkie złoto kupowali sobie majątki ziemskie i wydawali swoje córki za zubożałych polskich arystokratów. W Polsce niestety przymykano na te sprawy oczy.

Większość jaskrawych wad żydostwa — cynizm, arogancja, tupeć, skłonność do wyzysku, materializm — wad wynikających ze stosunków klasowych, odrywano u nas od naturalnego podłoża społeczno-gospodarczego, oceniając je w kategoriach ściśle narodowościowych, zawsze mylnych i zawodnych, gdy obok czy ponad historią przynależać mają do jakiegoś nieokreślonego bliżej, wiecznego i irracjonalnego ducha narodu czy rasy. Lekceważąc żydowskiego pariasa drwiną i żartami, utwierdziliśmy w sobie i umocnili antyhumanistyczny stosunek do Żydów, niegroźny jeszcze, gdy wspierał się tylko na płycej umysłowości i ciasnocie serc, nieludzki, jeśli odpowiedzieć miał sprawom człowieka istotnie doniosłym i naglącym. Natomiast tych wszystkich Żydów, którzy cokolwiek znaczyli, a przestali nas energią, sprytem, zdolnościami, pracowitością i fachowością, dystansującymi nasz dyletantyzm, tych Żydów obarczaliśmy specyficzną odpowiedzialnością zbrodni, owym „duchem narodu“, pozaczasowym i pozahistorycznym, mistycznym związanym z losami żydowskiego narodu. Stwierdziliśmy, że Żydzi są wrogami polskości i rezygnując z poszukiwań przyczyn zła w innych, ściśle historycznych racjach, stworzyliśmy sobie fałszywy obraz mrocznej i wrogiej potęgi.

Wielu Polakom wydaje się najpewniej, że ich antysemityzm wspiera się na rozumowych racjach logicznie wyprowadzonych z rzeczywistości. Jakże się myli! Polski antysemityzm jest do gruntu przesycony irracjonalizmem, zakładając bowiem fałszywe, antyhistoryczne przesłanki, wspiera je i rozbudowuje racjami tylko uczuciowymi: afektem, uprzedzeniami i niekontrolowanymi odruchami.

5

Dzień dzisiejszy potwierdza taką właśnie, nie inną ocenę. Zdawałoby się, że gdy z trzech milionów Żydów polskich pozostało przy życiu sto zaledwie tysięcy — dwudziestokilkomilionowy naród, jeśli nie zechce pozostać w rażącej sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem, nie może się dalej karmić plotką o niebezpieczeństwie żydowskim. Okazuje się jednak, iż Polacy, przesiąknięci irracjonalnym pojęciem „ducha żydowskiego“, nie są skłonni uznać zastanawiającej wymowy cyfr. Szeptane z ust do ust, opłatanie fałszami i nieścisłościami, a podsycane przez ludzi świadomie złej woli, znów krąży wśród nas wieści w rodzaju takich na przykład, jakoby wszystkie odpowiedzialne stanowiska w Polsce zajęte były przez Żydów. Któż z bardziej obecnie znanych ludzi w Polsce nie doczekał się to tu, to ówdzie, etykietki żydowskiej! Zarzuca się dalej Żydom, iż pchają się, jak się to mówi, na tzw. stanowiska. Pchają się? Jeśli posiadają odpowiednie kwalifikacje i dobrze swoją pracą służą Polsce? Czy nie są jej obywatelami? Czyżby Polacy, którzy sami tyle przeszli, sądzili, iż ci nieliczni ocaleni Żydzi nie mają prawa do pełnego, normalnego życia i gdy tyle się mówi o demokracji, wieść muszą wstydliwą wegetację w ukryciu? Czy nie należy się raczej z naszej strony szacunek dla tych wszystkich Żydów, którzy mimo przeżyć tak straszliwych, mimo tylu lat pohańbienia i cierpień, znaleźli w sobie dość hartu, siły i woli, aby stanąć do pracy? Czyż wreszcie mamy mierzyć wartość ludzi? Czy między innymi i nie ich odpornością na gwałt, na okrucieństwo i pogardę? Jakież prawo mamy mówić o własnych cierpieniach i stratach, gdy nie rozumiemy, nie chcemy zrozumieć, wolimy nie rozumieć i raczej wsty-

liwym milczeniem pokrywamy równie przeczające sprawiedliwości cierpienia i straty innego narodu? Cierpienia nie są legitymacją wobec przyszłych pokoleń. Nad cierpieniami, które wyrodziły się w nieprawość i skarleń, historia przechodzi z bezwzględnością, na jaką zasługuje małość i moralna ślepota. Te jedynie liczą się rany, które zasklepiając się i gojąc — służą odrodzeniu.

Rzeczywiście dość wiele stanowisk w dzisiejszej Polsce obsadzonych jest przez obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Złożyło się na to kilka przyczyn. Inteligencja żydowska w Polsce poniosła wprawdzie w czasie okupacji ogromne straty, jednak w porównaniu z proletariatem straty jej są procentowo mniejsze. Dzięki rezerwom finansowym i silniej niż w proletariacie rozgałęzionym stosunkom z Polakami, inteligenci żydowscy mieli więcej szans ocalenia życia od tysięcy żydowskiej biedoty. Znaczna poza tym ilość inteligentów i intelektualistów żydowskich znalazła się we wrześniu 39 roku na terenach wschodnich. Schroniwszy się później w głąb Rosji, ocaleli. Dalej: inteligencja żydowska już przed wojną była na ogół o wiele bardziej lewicowa od polskiej. Większość spośród niej nie jest w obecnej Polsce ludźmi nowymi. Swoim przekonaniom, swojemu społecznemu radykalizmowi nie muszą dawać świadectwa neofityzmu.

Z drugiej strony i dzisiaj tak samo, jak przed wojną, spotkać można Żydów, którzy zajmując takie czy inne stanowiska nie mogą się wyłęgłtymować podobnie, jak i liczni Polacy, odpowiednią miarą kwalifikacji zawodowych i moralnych. Ci Żydzi, których niczego nie nauczyło doświadczenie lat wojennych, dotkliwie szkodzą i sprawie żydowskiej i Polsce. I jeśli tu, na tej ziemi, która wśród największych trudności zaczyna się odbudowywać, jest się w prawie pletnować deprawację Polaków, takie samo prawo bezwzględne i surowe uderzyć musi i w tych Żydów, którzy wykorzystując taką czy inną sytuację przekraczają granice społecznej solidarności. Niestety u nas walka z antysemityzmem zbyt często kieruje się fałszywym wstydem wobec Żydów i woli przemilczać te fakty, które mogłyby w niekorzystnym świetle ukazać pewne żydowskie jednostki. Jest to postawa wynikająca być może ze szlachetnych nawet pobudek, lecz nie licząca się z psychicznym nastawieniem społeczeństwa polskiego i dlatego jak najfatalniejsza najczęściej w skutkach. Nie wolno było np. nalepieć w kwietniu ubiegłego roku na murach zrujnowanej Warszawy sąsiadujących ze sobą plakatów propagandowych, z których jeden głosił: **Chwała bohaterom obrońcom ghetta**, a drugi nawoływał: **Hańba faszystowskiemu pachołkom A. K.** Podobne i inne fakty są zbrodniami zarówno wobec Polaków, jak i Żydów. Prawdziwa walka z antysemityzmem udziela Żydom i Polakom jednakowych praw, lecz na jednych i drugich nakłada podobne obowiązki. Stawia znak równości pomiędzy Polakami i Żydami, lecz uznaje, iż z tej zasady wynikać muszą najszerzej pojęte i tylko na prawdzie i sprawiedliwości oparte konsekwencje. Żydzi powinni zrozumieć, iż Majdanek i Treblinka w żadnym wypadku nie okupują tych żydowskich jednostek, które ze względu na swoją obecną działalność zasługują na potępienie. To nie jest sprawa żydowska, to jest sprawa naszej wspólnej ojczyzny i naszego wspólnego państwa. Znów Polacy muszą zrozumieć, iż skazy lub przestępstwa jednostek żydowskich nie mogą obciążać ogółu Żydów, ani świadczyć o jakimś wymaginowanym „duchu żydostwa“. Mówmy sobie wzajemnie prawdę i żądamy, abyśmy prawdę mieli prawo mówić — to teraz znaczy więcej niż wspomnianie męczeństw i ofiar, a na pewno o wiele więcej niż potwierdzanie obecnych zadrążeń latami dawnymi.

Gdyby naród polski zechciał się otrząsnąć z tradycyjnych nawyków odczuwania i myślenia antysemickiego, gdyby spojrzął na problem żydowski w Polsce w jego prawdziwych wymiarach historycznych i trzeźwo ocenił to wszystko, co w tym zakresie było do tej pory i co jest obecnie, problem żydowski przestałby u nas istnieć, wygasłby w sposób naturalny, nie ma bowiem ani liczącego się liczebnie partnera, ani warunków klasowych, które pozostałych przy życiu Żydów mogły-

by wciągnąć w układ społeczno-gospodarczy, sprzed września trzydziestego dziewiątego roku. Problem żydowski posiada obecnie jedyną perspektywę: moralną. Wspomniałem wyżej, iż „zagadnienie polskiego antysemityzmu przetrasta swoją rozległością i doniosłością sam problem stosunku Polaków do Żydów“, ponieważ „jest jednym z aspektów stosunku człowieka do człowieka, stosunku do ludzkich wartości“. Tak właśnie jest.

Zarzutem niesłusznie krzywdzącym naród polski byłoby twierdzenie, iż nie posiadamy szacunku dla wolności i sprawiedliwości. Te wnioski, wiecznie żywe i wbrew wszystkiemu złu podtrzymujące w ludzkości nadzieję, pojęcia zawsze znajdowały i znajdują w sercach polskich gorący odzew. Ale wyhodowany na ziemi polskiej idealizm, który od dnia rozumnie i uczciwie przeżytego łatwiejszą czyni efektywną, choć niepotrzebną nieraz śmierć, idealizm odwołujący się do najszczytniejszych głosów ludzkich i rozgrzeszający nimi lenistwo i niedbałość — i tutaj w sprawie żydowskiej pojęciem wolności i sprawiedliwości każe trwać o wiele za wysoko ponad codzienną rzeczywistością. Idealizm polskim brakuje bardzo często mocnych korzeni. Wyrastają bardziej z mglistych pragnień i heroicznych i wzniosłych marzeń niż z realnego gruntu. Kochając i czcąc sprawiedliwość i wolność, rzadko im w życiu codziennym oddajemy należne potwierdzenie. Co więcej, nie zawsze zdajemy sobie sprawę, iż depczemy beznamiętnie i ponizamy te pojęcia, które wypisyaliśmy na naszych sztandarach.

W ciągu sześciu minionych lat byliśmy świadkami bezprzykładnego w dziejach świata pohańbienia człowieka. Nie trzeba się nam oglądać za siebie, aby ujrzyć cmentarze kryjące w swojej głębi naszych najbliższych, wydłupione i zastygłe obozy śmierci, zgłiszcza i ruiny zaledwie wczoraj dymiące, a dzisiaj jeszcze nieobeschłe z krwi. Dane nam było w ciągu tych mrocznych lat przeżyć doświadczenia, jakich daremnie by szukać wśród poprzednich pokoleń Europy. Poznaliśmy kres zbrodniczości człowieka i kres ludzkich, w żadnych słowach się nie mieszczących cierpień.

Dokonano już pierwszych obliczeń strat wojennych. Według źródeł zagranicznych wyrażają się w następujących cyfrach: 14 milionów zabitych, 5 milionów wymordowanych, 3 miliony zabitych wskutek bombardowań, 11 milionów pomordowanych w obozach. Razem — 33 miliony. Inwalidów wojennych około 30 milionów.

Cyfry te z pewnością nie są dokładne. Zreższą gdyby nawet były, nie są niestety ostateczne. Wprawdzie wojna się skończyła, lecz miejsce zaognionych na świecie jest dość dużo, aby pokój, który trwa od roku, nadal kosztował wiele ludzkich istnień. Do 33 milionów ofiar wojennych trzeba będzie jeszcze dodać wiele tysięcy bratobójczo pomordowanych na początku pokoju. Ziemia polska, grecka i hiszpańska wiedzą aż nadto dużo o tej gorzkiej zapłacie.

Cyfry te są zbyt wymowne i przerażające, aby można je skreślić z pamięci. Nie sądzę, aby mógł się na świecie znaleźć uczciwy człowiek, który by póki mu starczy życia potrafił zamknąć w sobie i przekreślić lata wojny, wraz z ich bilansem. Wojna toczyła się o losy świata i człowieka, lecz pokój, który po niej nastaje, zadecyduje o kolejach ludzkości w sposób jeszcze dobitniejszy i trwalszy niż lata walk. Któż, jeśli nie my przez los oszczędzeni, ma nadać sens tym 33 milionom zabitych i pomordowanych, w czyich rękach, jeśli nie w naszych spoczywa możliwość, aby, nienadaremna uczynić śmierć owych 33 milionów?

To pytanie, domagające się odpowiedzi i spełnienia najgwałtowniej ze wszystkich zapytań, jakie stają przed współczesnością, stanąć również powinno przed antysemityzmem. Nie powiem: bez miłości, bo słowo to zbyt wielu klęsk doznało i sięga być może ponad miarę ludzkich sił. Powiem: bez szacunku dla człowieka, bez powagi myślenia o człowieku, bez solidarności wobec prawd, za które miliony oddały życie — nie może po latach ostatnich doświadczeń istnieć naród, który zasługiwałby na prawo do szacunku.

Jerzy Andrzejewski

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielni

Wydawnicza »Czytelnik« ustanowiła

coroczną nagrodę »Odrodzenia« w wysokości 100.000 zł.

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w maszynopisie na ręce jury.

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia“:

Kazimierz Czachowski, Maria Dąbrowska, Julian Krzyżanowski, Wacław Kubacki, Karol Kuryluk, Stanisław Łempicki, Kazimierz Wyka.

Wszelką korespondencję w tej sprawie prosimy kierować na adres redakcji »Odrodzenia«: Kraków, Basztowa 15, m. 8.

JOZEF SIERADZKI

Szkoła nowej demokracji

Nowa literatura pedagogiczna ciągle się rozwija. Z ostatniego czasu można wymienić kilka ważnych pozycji. Więc wielką księgę „Ogólnopolski Zjazd Oświatowy“ w Łodzi (18—22 czerwca 1945) z pracami Władysława Bieńkowskiego, Zanny Kormanowej, Stanisława Świdwińskiego, dalej świetną książeczkę Zanny Kormanowej „Reforma szkolnictwa w Anglii i we Francji“ (Biblioteka Nauczyciela Demokracji) i Witolda Wyspiańskiego „O demokratyczne fundamenty szkoły polskiej“ („Pamięci Witolda Wyspiańskiego“).

O obliczu i tematyce współczesnej literatury pedagogicznej decyduje aktualna przebudowa organizacyjna i reforma programu szkolnictwa. Odczuwamy natomiast brak dokonanej z nowego stanowiska analizy filozoficznych podstaw pedagogiki współczesnej. Trzeba koniecznie przystąpić i rozszerzyć się w osiągnięciach, zwłaszcza ostatnich dziesięcioleci, wznieść się ponad rozliczne kierunki i szkoły, skontrolować je, mając na uwadze zarówno cel, jak stosunek do elementów, na których budujemy pogląd na świat.

PERSONALIZM I OSOBOWOŚĆ

Wśród filozoficznych kierunków ostatniej doby, które wybiły piętno na nauce pedagogicznej, na czołowe bodaj miejsce wysunął się personalizm. Sformułowany jako system przez Williama Sterna (Person und Sache. System des kritischen Personalismus, Lipsk 1922) odbił się on i u nas żywym echem w filozofii, zwłaszcza zaś w pedagogice. Szczegółne powodzenie osiągnął on we Francji, gdzie zyskał rozgłos i rozszczał się na kilka co najmniej odgałęzi filozoficznych.

Personalizm kładzie nacisk na osobowość jednostki zdążającej do realizacji swych możliwości. Wychowanka traktuje się jako świat odrębny (jaż indywidualna, indywidualna struktura psychiczna), poddaje się skomplikowanym badaniom metodą psychograficzną, zakłada się dla niego karty indywidualności, sporządza tabele, notuje uwagi i spostrzeżenia, uprawia się tzw. wolną charakterystykę.

Rodowód personalizmu pedagogicznego jest dość dawny, sięga do J. J. Rousseau. Ten przedstawiciel drobnej burżuazji, ideolog i wyraziciel jej świadomości klasowej, doszedł do wątku indywidualistycznego personalizmu logiczną koleją rzeczy. Również logiczne jest, że w naszym przełomowym okresie, w latach wzmożonych przeciwieństw klasowych i związanych z nimi walk ideologicznych, mieszczański personalizm rozplecił się przemożnie w dziedzinie teorii wychowania.

Na ten sam czas, na moment wzmożenia radości życia i optymistycznego nastroju, który jak chwilowe polepszenie u chorego na gruźlicę, nawiedził świat kapitalistyczny po pierwszym wojennym wstrząsie a przed ekonomicznym kryzysem i drugą powszechną wojną — przypada witalizm w literaturze, „kult siły dla samej siły, czynu dla czynu, nowości dla nowości, lekceważenia człowieka jako zjawiska moralnego, a uwielbianie w nim tego, co jest przypadkowe i zwierzęce, nonszalancki egoizm, brak jakiegokolwiek hierarchii spraw życia“ (I. Fik, „Dwadzieścia lat literatury polskiej 1918—1938“).

Personalizm rozwidła się na wiele kierunków. Zasiła się nim zarówno konserwatysta społeczny, jak „humanistyczno-narodowy“ teoretyk faszysty, wreszcie pedagogika wrażliwa na sprawy socjalne. Teoretycy i praktycy szkoły pracy, szkoły wspólnoty wychowawczej, głosiciele i realizatorzy hasła i metod szkoły demokratycznej jak J. Dewey, Stanley Hall, G. Kerschensteiner. U nas zaś Janusz Korczak i Henryk Rowid a nawet Władysław Spasowski, wyznawca materializmu dialektycznego, przywiązują najwyższą wagę do wszechstronnego rozwoju jednostki ludzkiej. Psychologia indywidualna Alfreda Adlera cieszy się wziętością i powodzeniem.

Klasyczny personalizm ma na uwadze tylko jednostkę, bez aspektu społecznego. Pod jego znakiem stoi reforma szkolna związana z nazwiskiem Jędrzejewicza. Zupełnie świadomie wybrała ona intelektualny elitaryzm i w ślad za tym zacisnęła pętlę wokół głoszonej, lecz niewykonywanej zasady szkoły powszechnej.

Pokrewieństwo duchowe personalizmu i idealizmu, ścisły z nim związek, jest nie tylko udokumentowany wielokrotnie w literaturze, lecz ukazuje się sam, bez nadmiernego wysiłku analizy i dowodzenia. Skłonność do intuicjonizmu, łatwość — i niezbędność! — przejścia na błotnisty grunt pojęć, z których wyrastały najszkodliwsze teorie i rozszerzył się faszysty, rosła opodal źródła, z którego wypływa strumień osobowości, manifestującej przed światem autonomię duchową człowieka i prawo do nieskrępowanego indywidualnego rozwoju kultu jednostki „z nabożnym pielegnowaniem nawet chorobliwych odruchów psychiki ludzkiej“ (I. Fik, „Rodowód społeczny literatury polskiej“).

ZASADA SPOŁECZNA

Tym więcej czujności musi obudzić się nas, gdy w miejsce indywidualistycznego

personalizmu wprowadzamy nową, naszą zasadę.

Jaką?

Zasadę socjologiczną.

Stoimy na awangardowych pozycjach przebudowy gospodarczo-społecznej. Wynika ona z osiągniętego przez świat rozwoju a zdąża do ustroju powszechnej równości i dobrobytu, ustroju, pierwszy raz osiągalnego w dziejach rodu ludzkiego. Oznacza to emancypację mas w najszerszym znaczeniu. Rozpowszechnienie kultury zarówno w sensie ilościowym jak jakościowym. Jeszcze więcej: upowszechnienie oświaty, nauki, sztuki nie tylko w rozumieniu jej rozprowadzania, ale i wytwarzania.

Zasada społeczna jest zresztą koniecznością historyczną, którą można odsunąć, ale której nie podobna uchylić. „Jak warsztat tkacki, maszyna parowa, kolej żelazna i parostatek, armata i karabin rodzą w początkach XIX stulecia konieczność powszechnego kształcenia elementarnego, jak motor Diesla, elektryfikacja produkcji i transportu, telegraf, ciężka artyleria i karabin maszynowy wysuwają konieczność 6—7 letniej obowiązkowej szkoły powszechnej na przełomie XIX i XX stulecia, tak nasza epoka fal elektromagnetycznych i energii atomowej, radia, czołgu i katjuszy, rynków światowych i demokracji gospodarczej, stawia w sposób kategoryczny i niewątpliwą sprawę powszechnego kształcenia obywateli na poziomie szkoły średniej“ (Z. Kormanowa, „Reforma szkolnictwa w Anglii i we Francji“).

Technika dyktuje wyższy poziom i szerszy zakres oświaty. „Współczesny układ stosunków produkcyjnych i form ustrojowo-politycznych przekreśla elitarny, zamknięty, oparty na przywileju pochodzenia i bogactwa system oświaty“ (Z. Kormanowa).

Organizacyjnym wyrazem tego jest u nas w obecnej chwili, z początkiem nadchodzącego roku szkolnego, ośmioklasowa szkoła. Nie powiększona o jedną klasę siedmioklasowa szkoła powszechna, lecz upowszechnione, 8-letnie nauczanie z dolną kondygnacją szkoły średniej. Są w toku prace nad programowym wyrazem dla tego i dalszych kroków przebudowy kulturalnej, która musi nadażyć przebudowie gospodarczo-społecznej.

Ale jaki jest nurt poznawczy, teoretyczny, filozoficzna treść współczesnej pedagogiki?

Francuzi z grupy reformatorskiej Pawła Langevina, a także Jerzego Cogniata i Henryka Wallona, mówią o humanizmie opartym na racjonalizmie naukowym. Można by przyjąć ten termin, podobnie jak dla teorii literatury przyjmuje się określenie realizmu. I w jednym i w drugim wypadku trzeba rozwinąć i pogłębić teorię, wysnuć ją przy pomocy nauk ekonomicznych, socjologii i psychologii, wypróbować szlachetnym instrumentem dialektyki, poddać probierzom życia, jego doświadczeń i praktyki, której uogólnienie stanowi najpewniejszą teorię.

Tyle można by powiedzieć o filozofii pedagogiki, zmieniającej się w naszych oczach. W miejsce wybujałego indywidualizmu, zapatrzonego w bogactwo życia jednostki, której organizacja szkoły, jej program, metoda i nauczyciel starały się skwapliwie służyć, wchodzi zasada społeczna. Postulat przeprowadzenia przez szkołę jednolitej, na poziomie na razie średnim — wszystkich. Wychowanie zmierzające do rozwinięcia nawyków społecznych, niezbędnych w państwie demokratycznym.

Zdrowy element osobowości zostanie utrzymany. Francuzi akceptują metody kształcenia

skierowane na jednostkę, wychowujące jej czynne wypowiedzianie się w formach, do których jednostka łączy sama. Nie ma, sędzę, żadnych powodów, aby miało przepaść to, co jest racjonalne w dorobku wniesionym przez W. Sterna i A. Adlera. Nowe warstwy dziedziczą cały spadek przeszłości, w którym dokonany będzie racjonalny wybór. Nasze nauczycielstwo nie wyrzeknie się lekkomyślnie zdobyczy osiągniętych w latach eksperymentów pedagogicznych, o ile one wpłynęły dodatnio na metodyczną sprawność nauczyciela. Z arsenału naszej dydaktyki nie zostanie usunięty żaden instrument, który obiecuje pożytek.

Z personalizmu musi odpaść to, co jest niezdrowe, szkodliwe i niebezpieczne. To, z czego wyrasta hipertrofia jednostki, aspołeczna „idea“ jej wozostwa, z której zrodził się wyprany z żywej treści, jałowy totalizm.

„Integralnym tedy warunkiem szczerze pomyślanej demokracji jest jak najstaranniejsze wychowanie obywatela, wyrobienie w nim cnót odpowiednich, w szczególności tych, które są potrzebne do harmonijnego życia zbiorowego i do pomyślnego postępu“ (Witold Wyspiański).

POZNANIE A WYCHOWANIE

Ale, gdy przejdziemy kolejno do teorii wychowania, wyjaśnimy nasze stanowisko, tym więcej, że na przedpolu leży wiele gruzu po szkole elitarniej, faszystowskiej lub paratotalitarnej. I tu trzeba dokonać zdecydowanego wyboru. Należy bardzo ogólnie traktować wszelkie, nie tkwiące w samej rzeczy sposoby urabiania umysłów uczniów, t. zw. ideowy dydaktyzm, moralizowanie, propagandę itp. zabiegi. Zrezygnować z wprowadzania normatywnych zasad, nauk etycznych, kaznodziejstwa i retoryki. Zasady normatywno-etyczne są naturalnym wynikiem całego kursu nauki szkolnej.

Aby nie być gołosłownym i wyjść poza krąg ogólników, damy konkretną ilustrację. Weźmiemy ją z dziedziny, która w nowym programie nosić będzie nazwę nauki o Polsce i świecie współczesnym (kl. 8, dwie godz. tygodniowo).

Obraz współczesnej Polski będzie w tym przedmiocie ukazany na tle współczesnego świata. Popularyzacja naukowa wniesiona będzie na zrebie wiadomości zdobytych w szkole w toku nauki do klasy ósmej oraz na wprowadzonym minimum wiedzy ekonomicznej, socjologicznej i prawnoustrojowej. Ukazane będą narodziny współczesnego świata, od gospodarstwa pieniężnego i pierwszych rewolucji burżuazyjnych do uformowania się społeczeństw kapitalistycznych w ciągu XIX i XX wieku i potęg imperialistycznych na przełomie XIX i XX wieku; społeczno ekonomiczne i prawnoustrojowe problemy współczesności z wyjaśnieniem pojęć i urządzeń ekonomicznych, społecznych, ustrojowych, jak np. renta, prawo do pracy, podział władzy; dalej miejsce Polski w świecie współczesnym, kraj i człowiek, problemy związków historycznych, politycznych i kulturalnych pomiędzy wschodem i zachodem i wreszcie Polska w rodzinie wolnych narodów.

Uczniowie, obcy z elementami współczesnej wiedzy, przywykli do krytycznego rozpatrywania spraw i określania stosunku do nich rozumem i na zasadzie użyteczności społecznej — otrzymają najlepsze z możliwych podstawy i punkt wyjścia do odkrycia, w aktywnym wysiłku własnym, pożądanego rozwoju

oraz uformują swe poglądy, dotrzymując kroku postępowi w świecie.

Rezultat wychowawczy zasada się na elemencie poznawczym i wynika zeń. Nauka podawana uczniom hołduje prawdzie, podaje prawdę i zachęca do poszukiwania prawdy, upatrując w niej główny czynnik urabiający stosunek do życia i otaczającego świata oraz świadomość tego stosunku. Calej pracy szkolnej towarzyszy uważne i czujne wystrzeganie się wszelkiej frazeologii, która nie znajduje pokrycia rzeczowego, plenięnie jej u uczniów i zaprawianie ich do możliwie największej ścisłości w używaniu pojęć ekonomicznych, społecznych, ustrojowych, politycznych, historycznych.

TRZY AKSIOMATY

Istnieją wszakże pewne pierwiastki polityczno-ideowe, których przyswojenie wychowankom szkoły, wtopienie ich w myśl i uczucie stanowi *conditio sine qua non*. Należą one do sfery spraw związanych z przebudową ustroju rolnego i uspołecznieniem podstawowych dziedzin, zrebę wytwarzania. To samo odnosi się do nauczyciela. Nie propagujemy uniformizmu politycznego myślenia i nikt z nas nie kwestionuje autonomii nauczyciela w tej dziedzinie. Jednych pociąga idealizm, innych materializm, wszystkich — przyjmujemy to — ożywia ideowość. Wyznawcy filozoficznego materializmu, moniści, w swym demokratyzmie nie kwestionują swobody i prawa opowiadania się przez kogokolwiek np. za neokatolicyzmem czy jakimś innym kierunkiem filozoficznym, upatrując w walce o światopogląd drogę do krystalizacji świadomej myśli postępowej.

Ale nauczyciela, który nie wpoi wychowankom przeświadczenia o ekonomicznej i socjalnej racji podziału własności ziemskiej na samowystarczalne, chłopskie gospodarstwa, stanowiące przedmiot własności prywatnej — nie podobna utrzymać. Wychowankowie muszą wzrastać w takiej gotowości obrony wielkiej zdobyczy socjalnej, jak najlepsi obywatele walczą o mury swego miasta. Tak samo nienaruszalne jest, że gospodarstwo narodowe nie znosi żadnej postaci monopoli, wspólnot interesów, koncernów, trustów, syndykatów i innych form kapitału finansowego. Świadomość wagi zdobyczy osiągniętych przez upaństwowienie wielkiego i średniego przemysłu przeniknie do alfabetu polityczno-obywatelskiego. Nie wzruszą tego żadne zakusy kapitału obcego ani własnego. Działalność prywatna w przemyśle i handlu, której pozostawiono pole swobodnej gry i żywotnego rozwoju, stoi przed nieprzekraczalną granicą: nie może osiągnąć wpływów politycznych w naszym układzie państwowym.

Trzecim fundamentalnym elementem wychowania nowego człowieka jest świadomość i poczucie suwerenności państwa i nietykalności jego granic. Nasze granice wschodnie określone zostały na zasadzie czynnika etnograficznego; długowieczny, bolesny proces został zamknięty i zakończony. Na zachodzie bronimy arterii życiowej od Karkonoszów do Szczecina, tj. Nysy Łużyckiej i Odry. Linia ta, wraz z wybrzeżem Bałtyku stanowi polską część systemu politycznego Europy, nowego politycznego układu, który jest jednym z najważniejszych rezultatów zwycięstwa nad Niemcami. Wyeliminowani z Morza Bałtyckiego i słowiańskiej części Europy, nie mogą Niemcy tam powrócić. Każda próba podważenia granicy Bałtyk—Odra—Nysa jest zamachem na życie państwa i niepodległość narodu. Tym sposobem ziemie odzyskane stanowią fundamentalną zasadę naszej polityki, którą szkoła, „forma społeczna zorganizowanego przekazu kulturalnego z pokolenia w pokolenie“ — jak ją pięknie nazywa Z. Kormanowa — upowszechni, wkorzeni i umocni, jak granitową skałę.

CZŁOWIEK ISTOTA SPOŁECZNA

Oto jedna z prawd nowoczesnego Polaka: Pogłębić pozytywny stosunek do pracy jako jedynego źródła bogactw, do twórczej myśli naukowej jako instrumentu postępu, do uspołecznionej organizacji procesów twórczych jako podbudowy pełnej demokracji.

Konflikt między jednostką a społeczeństwem wzięliśmy w spadek po formacji towarowo-wymiennej. W jej łonie powstał kult indywidualności, doprowadzony do przesady, do znaczenia wartości absolutnej. Stąd aspołeczne skłonności, prądy i kierunki: anarchizm, hedonizm życiowy, egotyzm, indyferentyzm etyczny, ostatnie manifestacje wysychającej ideologii mieszczaństwa (I. Fik).

Wśród zasad wychowawczych, głoszonych przez Międzynarodową Ligę Wychowania (1921), która nawiasem mówiąc hołdowała idealistycznej tezie przewagi ducha nad materią, znajdujemy taką:

„Współzawodnictwo o charakterze egoistycznym powinno zniknąć z wychowania, a na to miejsce wprowadzić należy współdziałanie, które uczy dziecko oddania swego ja w służbę

Z OGÓLNOPOLSKIEGO SALONU W WARSZAWIE



WALENTYNA SYMONOWICZ-MIERZEJEW KA

Idylla

zbiorowości" (cytowane wedle Rowida, „Szkoła twórcza“).

Z założeń socjologicznych wynika kształcenie istoty społecznej w dziecku jako cel wychowania (Emil Durkheim). Ponad strukturą indywidualności jest wyższa od niej osobowość uspołeczniona, jak mówi Henryk Rowid. W dorobku pedagogiki znalazł się solidaryzm społeczny Kerschensteina. Pierwsi reformatorzy szkoły radzieckiej, A. Lunaczarski, Nadejda Krupska, P. Błoński, wnieśli postulat pogłębiania nawyków społecznych i instynktu współdziałania. Idee socjalnej pedagogiki szerzyli u nas Ksawery Prauss, Janusz Korczak, Stefania Sempołowska, Mieczysław Lewiński. W cieniu zapadają metody, wedle których dziecko jest „początkiem, środkiem i końcem całej pracy wychowawczej” (Ziemnowicz, „Problemy wychowania współczesnego“). Gdzie środek staje się celem, a cel właściwy znika z pola widzenia i świadomości nauczyciela, szkoły i społeczeństwa.

Powiemy:

Należy uświadomić zanikanie przeciwstawności gromady i jednostki przez fakt, że jednostka uspołeczniona znajduje w ustroju demokratycznym najkorzystniejsze dla siebie warunki rozwoju i działania w ramach określonych dobrem społecznym.

Lecz co oznacza nasz ustrój demokratyczny? Czym jest?

NOWA DEMOKRACJA

Powiedzmy naprzód czym nie jest. Nie jest demokracją typu imperialistycznego, jak w Ameryce, której ekonomika nie potrafi zdobyć się na przesunięcie człowieka-konsumenta na pierwsze miejsce, pieniądza i producenta na drugie w swym całym układzie gospodarczo-społecznym. Stuarta Chase książka o celach Ameryki („Goals of America“, 1942) odsłania kryzys burżuazyjnej ekonomii politycznej. Ma ona co najwyżej odwagę mówić to i owo o mieszanej ekonomice (a mixed economy), zatrzymuje się oczywiście przed gospodarką planową, czerwoną płachtą dla kapitału finansowego, natomiast załamuje bezradnie ręce przed zjawiskiem bezrobocia. Na lato 1946 roku szacowano liczbę bezrobotnych w USA na 6 milionów. Grudniowy „Life“ przyniósł zdjęcie zdemobilizowanego żołnierza z napisem: „Weteran drugiej wojny światowej, ma żonę i dziecko, nie ma mieszkania ani pracy“.

Nie jest demokracją kolonialno-parlamentarną. Bolesne korektury terytorialne muszą dać nam, prócz trwałych podstaw dla systemu polityki, opartego na współpracy, przymierzu i wzajemnej pomocy z ZSRR — inny jeszcze pożytek. Jest nim eliminacja wszelkich znamion i pierwiastków kolonialnych. Już choćby z tego tylko względu, nie mówiąc o innych, musi z Polski od razu wyjść grupa niemiecka, której pobyt stwarza niebezpieczne i psujące zjawisko wyręczenia się pracą wyszukanego człowieka. Niebezpieczeństwo eksploatacji jest większe od przejściowego pożytku i grozi naszym podstawowym interesom.

Lecz wracając do wzoru angielskiego, „panowie w cywilu“, którzy zrzucili mundury wojskowe, powrócili do domu po wojnie, i rozpamiętując jutro, rozumieją czego nie należy czynić. I, sądząc z powieści Johna Priestleya, o której tu mowa, zaczynają już rozumieć, co należy czynić. Ustrój, który dopiero w momencie najwyższego zagrożenia wysunął plan Beveridge'a, nie może być właściwym dla nas wzorem i przykładem.

Nie jest demokracją radziecką, która wyrosła z dyktatury proletariatu. Klasyki marksizmu nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do tego, że przebudowa społeczna może obrać inne drogi niż dyktaturę dla realizacji ustroju sprawiedliwości społecznej i demokracji gospodarczej. Jesteśmy w tym co prawda beneficjentami rewolucji październikowej w Rosji i jej zdobyczy. Korzystamy z nieodwracalnych faktów, które przez nią zostały stworzone. Istnienie i rozwój ZSRR jest gwarancją wielu spraw we współczesnym świecie. Korzystamy też z rewolucji, która dokonywała się w strasznych latach dopiero co minionej wojny światowej. Z układu politycznego, społecznego i gospodarczego, który sprawił, że nasza powojenna rewolucja jest łagodna. Że dokonaliśmy reform, dzięki którym „ten nowy ład, co żył w sobie mieści“, przypadło nam zdobywać nie bez „mąk i boleści“ wprawdzie, lecz bez wojny domowej i krwi.

Wchodzimy w gospodarkę planową. Jedną z podstaw, które obraliśmy, jest upowszechniona własność prywatna, dokonana w reformie rolnej, a podtrzymana przez inicjatywę prywatną w przemyśle i wymianie. Stoimy na gruncie demokracji ludowej z parlamentem i legalną opozycją. Nasza **nowa demokracja** jest układem strukturalnym, a nie efemerydą, wstawką „na rok i dzień“.

PRZEBUDOWA PSYCHICZNA

Nowoczesny racjonalistyczny humanizm, czy realistyczny styl, stoi przed najpoważniejszymi zagadnieniami. Przebudowa psychiczna jest trudniejsza niż zmiany gospodarczo-społeczne. Powolność zmian duchowych jest niezaprzeczalna. „Pojęcia tworzą się w naszym umyśle z dużym móżdżem, lata mijają nim się je zdobędzie lub utrwali“ (Witold Wyspiański). W naszym jaskrawym opóźnie-

niu, proces ten natrafia na szczególne opory, zwłaszcza gdy emocje mają przewagę nad racjonalną refleksją. Tym bardziej nie ma nic pilniejszego nad rewizję poglądów w dziedzinie filozofii, historii, prawa, teorii literatury. Jako przykład potrzeby gruntownej analizy i określenia stanowisk można przytoczyć zagadnienie pozytywizmu i romantyzmu.

Nie jest ono wcale przesądzone przez fakty na wskroś wsteczną i ujemną treść romantyzmu i jakoby na wskroś dodatnią i postępową treść pozytywizmu. Miejmy na uwadze, że pozytywizm polski był bardziej produktem szlacheckim niż wytworem mieszczaństwa, na co już Ignacy Fik trafnie wskazywał. Ta socjalna metryka pozytywizmu nie jest obojętna dla wartości wytworów kulturalnych jego doby. Ale też „niebieski kwiat cudowności“ nie jest jedyną rośliną, a mesjanistyczny bełkot jedyną filozoficzną treścią romantyzmu polskiego. Potępienie go w czambuł i rzycałtowa afirmacja pozytywistów byłaby wulgarnym uproszczeniem i gruntownym błędem.

Na wszelki wypadek, idealisci czy materialisci — mamy prawo i potrzebę romantyki. Rozumnej mitologii pracy, jedynego źródła dóbr i źródła całej naszej przyszłości. Podniosłej romantyki krwi, wytoczonej obficie, z świadomością celu, na polach trzech kontynentów, na stepowych obszarach krajów wielkich dolin, gdzie rozstrzygnęły się

losy dramatycznej walki o Europę i oblicze świata, i gdzie zapadła decyzja o rozgromie faszyzmu.

Możemy, i słusznie, oczekiwać pełnego renesansu etyki i moralności w następstwie wielkiej przebudowy społecznej, jako jej zamknięcia opartego na nowych podstawach ekonomicznych. Ale zanim świat to osiągnie, determiniści muszą rozumieć potrzebę udziału w natychmiastowej odbudowie moralnej. Sygnały choroby, w którą popadliśmy, są bardzo poważne, chwilami groźne: rozstrój rodziny, osłabiona odporność młodzieży, demoralizacja społeczeństwa, które nie bez następstw było zamknięte za drutem kołczastym w Generalnym Gubernatorstwie, — bakcyl niewoli rozsiąany przez okupanta, wciskający się we wszystko i wszędzie.

Z żywym zainteresowaniem i aktywną życzliwością wypatrujemy momentu, w którym katolicy polscy spełnią możliwości zawarte w ich religii. Niestety, ruch neokatolicki w Polsce, gdzie katolicyzm, nigdy nie przesładowany, nie miał impulsu do ideowego pogłębienia, pozwala czekać nie tylko na swą twórczą transformację, ale nawet na praktyczną interwencję w sprawy obyczajowe, restaurację codziennej moralności, umocnienie zasady, że życie człowieka nie może być gaszone „wyrokiem stu głupców“, wznowienie elementarnych pojęć o nietykalności osoby

i prawie do życia bez względu na pochodzenie, wiarę i polityczne wyznanie. Pohitlerowskie dziedzictwo wzywa do bezkompromisowej, ustawicznej, zaciekłej walki.

Naszym naczelnym dążeniem wychowawczym jest ugruntować świadomość narodową i przywiązanie do polskiej kultury i jej postępowych tradycji. Ale i to stanowi celu samego w sobie. W formie rodzimej kultury musi znaleźć się najszersza treść. Rozstanie my się wreszcie z partykularyzmem i gloryfikacją autarkii kulturalno-narodowej, zwalczy my skłonności do regresu w średniowiecze i parafianiszczyny, rozbijemy ciasne opłotki, które zdrowy ruch narodowy przeistaczały w ciasny, bezduszny i zacofany nacjonalizm.

Dziś, w dobie renesansu słowiańszczyzny, jej awansu politycznego do poziomu i miary czynników porządkujących w świecie, opieramy się na poczuciu wielorakich związków z narodami słowiańskimi.

Wkraczamy w naszy. myśleniu w ścisłą, integralną łączność interesów i celów wszystkich demokratycznych wspólnot narodowo-państwowych.

Młode pokolenie, któremu wypadnie oddać ster, musi wprowadzić do rodziny wolnych, miłujących wolność i pokój narodów nie frazes i krasomówcza dekoracja, lecz treść, czyn i prawdziwe życie.

Józef Sieradzi

KONSTANTY GRZYBOWSKI

O perspektywy ludnościowe Polski

nej. To druga korektura, którą należy wprowadzić do cyfry 10 pro mille rocznie.

Nawet więc przy niezmienionej cyfrze przyrostu ludności z lat 1930—1938 otrzymamy przeciętną dla polskiej ludności państwa polskiego nie 10 pro mille, ale najmniej 12 pro mille rocznie. A ponieważ tylko ta wchodzi obecnie w rachubę — nawet przy ostrożnym obliczaniu przyszłości — cyfry dra Stysia wydają się za niskie.

2. Dalszą korekturę optymistyczną możemy wprowadzić, uwzględniając prawdopodobne zmiany w trzech zjawiskach, wpływających na wysokość nadwyżki urodzin nad zgonami: w stosunku do siebie poszczególnych klas wieku, w spadku lub nawet zupełnym zaniknięciu bezrobocia, w spadku śmiertelności.

a) Nie mamy jeszcze obliczeń, jak się obecnie przedstawia wzajemny liczbowy stosunek poszczególnych klas wieku, musimy się ograniczyć do przypuszczeń. Można jednak przypuszczać, że obecna wojna zniszczyła najbardziej generację starsze, w mniejszym stopniu generację młodszą. Odmienne od wojen poprzednich, straty wskutek prześladowań niemieckich, straty wskutek gorszych warunków życia odegrały większą rolę, niż straty na froncie. Dotknięte nimi zostały w wyższym stopniu generacje starsze. Z pewnością i najmłodsze. Około roku 1960 zaczniemy odczuwać skutki zmniejszonego przyrostu ludności w latach wojny. Ale do tego czasu stosunek procentowy roczników w wieku płodności do roczników poniżej i powyżej tego wieku może być korzystniejszy niż przed wojną i może być dalszym czynnikiem wyższego przyrostu ludności niż przed wojną.

b) Praca Marcina Kasprzaka („L'influence du chômage sur la famille“, Congrès international de la population, t. VII, Paris, 1937) dowiodła, iż ilość małżeństw między bezrobotnymi i ilość dzieci w rodzinach bezrobotnych była w Polsce niższa od przeciętnej. Ścisłe cyfrowe uchwycenie tej różnicy wobec ankietowego charakteru badań Kasprzaka nie jest możliwe, ale sam fakt zdaje się nie ulegać wątpliwości. Zniknięcie bezrobocia spowoduje i zniknięcie tego zjawiska.

c) Śmiertelność polska była zawsze wyższa od śmiertelności w większości krajów europejskich (w 1936 r. Czechosłowacja 13,3, Austria 13,2, Holandia 8,7, Niemcy 11,8, Anglia 12,1, Szwecja 12, — Polska 14,2 pro mille — i to Polska przy mniejszym procentowym odsetku ludzi w wieku ponad lat 60 niż te wszystkie kraje). Zmniejszenie śmiertelności, które powinno wystąpić w związku z bardziej celową i planową państwową polityką społeczną, w związku z poprawą sytuacji gospodarczej może być dalszym czynnikiem wyższego niż przed wojną przyrostu naturalnego.

3. Już więc przyjęcie przedwojennej przeciętnej nadwyżki urodzin nad zgonami wśród rzymsko-katolików w miejsce ogólnej przeciętnej polskiej daje nam 12 pro mille rocznie w miejsce 10 pro mille rocznie. Obniżenie śmiertelności z cyfry polskiej do cyfry tylko czechosłowackiej da nam 13 pro mille, do cyfry niemieckiej 14 pro mille — a więc powiększenie o przeszło 30 procent w porównaniu z szacunkiem prof. Stysia. Hipotezy realne, choć cyfrowo nie do ujęcia: wpływ spadku bezrobocia i wpływ rozładowania nędzy chłopskiej w województwach najmniej-szego przyrostu ludności, w województwach południowych, pozwalają na dalsze podwyższenie tej przewidywanej nadwyżki. Szacu-

nek: 40 milionów ludności polskiej w roku 1975 jest z pewnością skrajnie optymistyczny, nie sądzę jednak, by był tylko „cudownym rozmnażaniem ludzi piórem na papierze“.

4. Obliczenia te się sprawdzą, ale pod dwoma warunkami: że będziemy mieli długi okres pokoju i podwyższania stopy życiowej oraz długi okres braku rąk do pracy — że więc, jeśli się tak można wyrazić, produkowanie kapitału ludzkiego będzie się obywatelowi opłacało.

Prof. Styś widzi i tu pewną trudność w konieczności wielkiej inwestycji przy niskim dochodzie społecznym a więc słabym przyroście kapitału. Wyjście z tej sytuacji widzi w „operacjach walutowo-kredytowych o charakterze inflacyjnym“. Nie jestem ekonomistą, ale obawiam się, że to wyjście, które jak dotąd powodowało obniżenie stopy życiowej szerokich mas, wywarłoby ujemne skutki demograficzne.

Nie oceniam natomiast tak nisko możliwości szybkiego odrodzenia się kapitalizacji wewnętrznej; jej szybki wzrost w dwudziestoleciu międzywojennym, w sytuacji gospodarczej w swym punkcie wyjściowym gorszej, w kraju słabiej uprzemysłowionym, pozwalałym zdaniem na większy optymizm na przyszłość.

Co do inwestycji: nie sądzę, by „podnoszenie produkcji“ u nas, przy tym potencjale produkcyjnym, który otrzymaliśmy na zachodzie, wymagało takiego stosunku wydatków inwestycyjnych do wydatków rentujących się szybciej, jak istniał np. w Związku Radzieckim w okresie międzywojennym. Sytuacja nasza jest zupełnie odmienna.

Nie musimy budować przemysłu z niczego, ale musimy uzupełnić i przestawić już istniejący przemysł, którego dzisiejsza zdolność produkcyjna na głowę ludności przewyższa odpowiednie cyfry sprzed wojny.

Konstanty Grzybowski

Już ukazała się książka Prof. Tadeusza Czyżewskiego pt. „**GŁÓWNE ZASADY NAUK FILOZOFICZNYCH**“ (Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, nakładem Księgarni Naukowej T. Szczepny i Ska, Toruń 1946; str. 200, cena 260 zł).

Jest to drugie wydanie, przejrane i uzupełnione, podręcznika propedeutyki filozoficznej dla II klasy wszystkich wydziałów w liceach ogólnokształcących (pierwsze wydanie w r. 1938), dostosowane zarazem do wymagań egzaminu z głównych zasad nauk filozoficznych na uniwersyteckich wydziałach humanistycznych i matematyczno-przyrodniczych. Podręcznik dzieli się na dwie części, pierwsza „O poznaniu“ obejmuje psychologię poznania oraz logikę i metodologię, druga „O postępowaniu“ zajmuje się psychologicznymi warunkami ludzkiego działania, uczuciami, dążeniami, dyspozycyjnymi składnikami osobowości, a nadto omawia podstawowe pojęcia dla teorii postępowania, mianowicie pojęcia celu, obowiązku, normy, wartości. W zakończeniu zawarte są informacje o naukach filozoficznych, wiadomości historyczne o wybitnych filozofach, wskazówki do lektury uzupełniającej oraz obszerny indeks terminów filozoficznych.

Podręcznik może służyć jako wprowadzenie do zagadnień filozoficznych w ich współczesnym ujęciu dla wszystkich, których te zagadnienia interesują. Znajomość zaś podstawowych pojęć filozoficznych jest wysoce pomocna dla należytego ujęcia wielu zagadnień współczesnego, pełnego przemian życia.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

STANISŁAW NIENALTOWSKI

ODWET

W czerwcu 1943 r. ludnością Warszawy wstrząsnęła wiadomość o masowym morderstwie, dokonanym przez gestapo na setkach Polaków przebywających w więzieniu na Pawiaku. Morderstwa odbywały się przez kilka godzin w dniu 29. V. 43 r. na obszarze dopiero co spalonego ghetta. Zamordowano wtedy około 600 osób, aresztowanych spośród rozmaitych ugrupowań ruchu oporu w nocy z dnia 17 na 18 maja 43 r. Wyglądało na to, że niemiecka machina terrorku po zgnieceniu ludności żydowskiej zaczyna z kolei miazdżyć naród polski, z zamiarem starcia go z powierzchnią ziemi.

Na te wydarzenia nie mogło pozostać obojętne żadne polskie serce. Polski podziemny ruch oporu zaczął coraz szerzej ogarniać myśl o odwecie, o samobronie. Wkrótce stronic gazetki podziemnych, chodniki i słupy ogłoszeniowe pokryły się hasłem „Pawiak pomścimy”.

Taktykę odwetu na Niemcach za popełnione zbrodnie stosowała już od roku Gwardia Ludowa. Odwetem za pięćdziesięciu powieszonych w dniu 15. X. 42 r. mieszkańców Warszawy były zamachy na Café Club, kawiarnię na Dworcu Głównym i „Nowy Kurier Warszawski”, przeprowadzone w dniu 24. X. 42 r. przez grupy wypadowe Gwardii Ludowej pod dowództwem Jana Strzeszewskiego („Wiktora”). Odwetem za łapanie w dniu 12. I. 43 r. był zamach na kina niemieckie w Warszawie („Apollo” i „Helgoland”), przeprowadzony przez grupy młodzieżowe G. L. w dniu 17. I. 43 r. Także i obecna zbrodnia najeżdżców niemieckich miała się spotkać z silną reakcją Gwardii Ludowej.

Warszawskie oddziały G. L. na przełomie wiosny i lata 43 r. przeżyły pewien kryzys. W tym bowiem okresie straciły one dwóch zdolnych i dzielnych dowódców: Stanisława Skrzypia („Sylwestra”) i Franciszka Bartoszkę („Jacka”), z których pierwszy został aresztowany, a drugi zginął w czasie jednej z potyczek na ulicach Warszawy. Na ich miejsce Dowództwo Główne G. L. wysunęło nowego, równie dzielnego dowódcę, „Gustawa” (dr Sternhel — dąbrowszczak). Jemu to obecnie przypadło w udziale zorganizowanie akcji odwetowej za Pawiak.

Kilkunastomiesięczne doświadczenie bojowe Gwardii Ludowej ustaliło następujące zasady organizacji i wykonania akcji odwetowych: uderzać w możliwie jak największe skupiska oficerów niemieckich, przeprowadzać uderzenia w kilku, a co najmniej w dwóch punktach jednocześnie, atakować Niemców granatami lub bombami, aby wywołać jak największe straty — oraz wykonywać zamach niewielkimi grupami ochotników, aby podkreślić charakter ofiarnej wystąpienia w obronie narodu. Wszystkie te warunki zostały w akcjach lipcowych całkowicie spełnione.

Pierwsze dni lipca poświęcono na opracowanie planu i szczegółów akcji. Ustalono tedy, że miejscem uderzenia będzie tak samo jak i przy pierwszej akcji odwetowej kawiarnia niemiecka na rogu alei Jerozolimskich i Nowego Świata pod firmą „Café Club”, gdzie codziennie zbierała się śmietanka oficerów niemieckich, zwłaszcza gestapowców. Wybór drugiego miejsca akcji jeszcze bardziej podkreślał charakter odwetowy zamachu. Zamierzano bowiem zaatakować oddziały wojska niemieckiego w czasie uroczystej zmiany warty naprzeciw Hotelu Europejskiego i b. Komendy Miasta. Jednocześnie ustalono datę wykonania obu zamachów na niedzielę 11. VII. 43 roku.

Wezwienie zwrócone do oddziałów garnizonu warszawskiego G. L., a zwłaszcza do kilku grup wypadowych, aby te wyłoniły ochotników do akcji odwetowej, przyniosło natychmiast przewidywany skutek. Zgłosiło się od razu kilkunastu chłopców gotowych do akcji. Organizację i przeprowadzenie zamachu na „Café Club” wzięł na siebie Miroslaw Krajewski — „Pietrek”, natomiast zamach na niemieckie oddziały wojskowe miał przeprowadzić „Gustaw” — dowódca G. L. na Warszawie.

Krajewski, który wtedy był ranny w nogę i sam nie mógł wziąć udziału w akcji, kulejąc jeszcze i sycząc z bólu przy mniej zręcznym kroku, zgromadził swoich ludzi w dniu 10. VII. na skwerku przylegającym do placu Starynkiewicza. Byli to członkowie Związku Walki Młodych w liczbie siedmiu. „Agawa” (Bogdan Czeszko) — dowódca osłony, jego podkomendni „Karol”, „Grażyna”, „Wiesiek” i „Kubuś” oraz dwaj bezpośredni wykonawcy, mający rzucać wiązki ciężkich granatów obronnych między rozbawionych Niemców — „Konrad” i „Rysiek”. Na zebraniu w sobotę wieczorem Krajewski ogólnie tylko wspominał o charakterze akcji, wskazał obstawie bezpośrednich wykonawców odwetu, wyjaśnienie bliższych szczegółów odkładając do następnego dnia. Umówiono się w godzinach rannych znów na skwerku, tym razem między Filtrową a Wawelską. Nazajutrz Czeszko, na czele obstawy uzbrojonej w pistolety, otrzymał w czasie spotkania na Filtrowej dokładne

szczegóły akcji. Rozkaz kierował go na skrzyżowanie Alei Jerozolimskich i Nowego Świata, jako dowódcę osłony „Konrada” i „Ryska”, którzy w godzinach południowych mieli obrzucić granatami oficerów — Niemców w „Café Clubie”. Krajewski wyrysował na kartce papieru plan sytuacyjny, rozdał granaty członkom obstawy i dał rozkaz do wyjazdu. Przejęta ważnością chwili obstawa ruszyła naprzód. Najpierw wsiadli do tramwaju, a końcową część drogi przeszli pieszo. Na Kruczej Krajewski rzucił ostatnie przed akcją spojrzenie na „Agawę” i jego oddział, po czym przeszedł do „Ryska” i „Konrada”, oczekujących po drugiej stronie ulicy. Nadeszli oni prawdopodobnie ze Wspólnej, gdzie otrzymali wiązki granatów. Krajewski w rozmowie z nimi ustalił, że wejdą do wnętrza kawiarni, gdy na słupach sygnałowych pojawi się zielone światło.

W tym czasie osłona zajmowała przewidziane stanowiska. „Grażyna”, „Karol” i „Wiesiek” stanęli na Nowym Świecie w pobliżu Solnej, „Kubuś” koło Gastronomii, a „Agawa” pod tzw. „kapeluszem” — to jest pod kłosem głośnika ulicznego o kilkanaście kroków od wejścia do kawiarni.

Zabłysło zielone oko sygnału. „Konrad” i „Rysiek” zdecydowanym krokiem weszli do kawiarni. Ich wytworne ubrania, wyniosłe i dumne miny miały uprawdopodobnić ich przynależność do „rasy panów”. Na widok portiera jeden z eleganckich młodzieńców ukazał drugiemu grzecznym ruchem ręki oszklone drzwi i słowem „bitte” zachęcił do wejścia. Młodzieńcy zniknęli za drzwiami.

Wtedy „Grażyna” wyjmowała już z teczek plik ulotek. Wraz z sześcioma papierami wyskoczyli z kawiarni „Konrad” i „Rysiek”. Kilka następnych sekund wypowiedziało się dźwiękiem: nadjeżdżającego tramwaju, wybuchających granatów i wyjących zgrozą, trwogą i rozpaczą Niemców. Dalsze zaś chwile — biegiem niedzielnego tłumu. Obstawa szła wolnym krokiem, rozspijając po drodze ulotki z napisem: „Gwałt niech się gwałtem odciśka — Adam Mickiewicz, za Pawiak”. Akcja udała się całkowicie.

Równocześnie z zamachem na niemiecką kawiarnię miała być dokonana akcja przeciwko dwóm oddziałom wojska w chwili uroczystej zmiany warty przed gmachem b. Komendy Miasta. Zamach ten organizował „Gustaw” osobiście. Dnia 11. VII. 43 r. wyłonieni z oddziałów G. L. ochotnicy zebrał się na odprawę w małej kawiarence na ul. Wspólnej nr 6 w podwórzu. Utworzono dwie piątki. Jedną pod dowództwem „Leona” (gwardysty z terenu Pragi), a drugą pod kierownictwem „Romana”. Rozdano broń krótką i granaty, a następnie grupy ruszyły na miejsce akcji. Jednakże spełza na niczym, ponieważ grupa „Leona”, która miała rozpocząć atak od Krakowskiego Przedmieścia nie zdążyła na czas. Oddziały niemieckie rozeszły się niezaczepione, a grupy zamachowców zostały przez swych dowódców ściągnięte na ul. Karową pod szkarpe, gdzie, w czasie krótkiej narady dowódców z „Gustawem” na czele, postanowiono odłożyć akcję odwetową do odpowiedniej pory.

Ponowna koncentracja grup nastąpiła rano 15. VII. 43 r. również w kawiarence na ul. Wspólnej. Zebranych gwardystów podzielono znów na dwie grupy, z których jedna pod dowództwem „Lolka” (Żurawskiego Czesława) miała zaatakować granatami bądź pałac Blanka na placu Teatralnym, bądź też tramwaj dla Niemców na pl. Żelaznej Bramy. Druga grupa, podporządkowana „Leonowi”, miała się udać przed Hotel Europejski, aby powtórzyć akcję na niemiecki oddział wojska. Przed wymarszem przemówił do gwardystów Aleksander Kowalski i „Gustaw” (jako dowódca całości) wraz z „Wacławem” (Jadwigą Kąkoszko), która miała śledzić dokładnie przebieg zamachu i jego wyniki.

W grupie „Leona” znajdował się „Roman” (Roman Łęczyński), „Marek” i dwóch nieznanymi z nazwiska ani pseudonimu gwardystów. Po przybyciu w pobliże miejsca akcji grupa „Leona” wmaszerowała w tłum na przystanku tramwajowym, wysuwając jednocześnie posterunek obserwacyjny przed Hotel Europejski. Gdy po półgodzinnym oczekiwaniu oddział wartowniczy wciąż nie nadchodził, stało się jasne, że tego dnia z jakichś nieznanych powodów nie będzie uroczystej, jak zazwyczaj w dzień świąteczny, zmiany warty. Już rozważano, czy nie rozejść się do domu, gdy wtem od ul. Miodowej pojawił się dość liczny oddział S. A. z orkiestrą i sztandarami hitlerowskimi na czele. Gwardziści zwrócili się wtedy do „Gustawa” z propozycją zaatakowania tego oddziału. „Gustaw” oczywiście nie wyraził sprzeciwu.

Z odbezpieczonymi granatami szła grupa „Leona” chodnikiem obok maszerującej kolumny. „Roman” i „Leon” porozumieli się w czasie marszu, że rozpoczną akcję w pobliżu pomnika Kopernika. Obstawę stanowią „Marek” i dwóch gwardystów. Gdy kolumna niemiecka znalazła się na wysokości pomnika, pojawił się nagle nowy czynnik:

motocykle z żandarmerią, najwidoczniej dozorujące kolumnę, ponieważ objeżdżały ją naokoło. „Leon” zawahał się, gdyż wydało mu się, że żandarmi zaczęli obserwować przechodniów. Kolumna niemiecka maszerowała dalej bez przeszkód.

Ale grupa „Leona” nie zrezygnowała z ataku. Gdy SAMANI, wzorowo ubezpieczeni przez motocyklowe patrole żandarmerii, mijali plac Trzech Krzyży, „Roman” powiedział „Leonowi”, że ciśnie swój pęczek granatów w sam środek oddziału niemieckiego na rogu Piusa i Alei. „Leon” dał o tym znać „Markowi”. W pobliżu ul. Piusa „Roman” wyskoczył na brzeg chodnika i z okrzykiem „za Pawiak” rzucił swą wiązkę granatów w środek niemieckiej kolumny. To samo zrobił „Leon”. Gdy granaty opadły na jezdnię, Niemcami owładnął popłoch. „Roman” i „Leon” wskoczyli za wiegieł domu w ul. Piusa. a „Marek” z towarzyszami rozpoczął gwałtowny ogień z pistoletów w tłum rozsłanego żołdactwa. Wtedy nastąpił gwałtowny wybuch i jakiś nieludzki krzyk a potem drugi wybuch. Grupa „Leona” rozpoczęła odwrót.

Przebieg odwrotu jest nam znany z opowiadań jednego z uczestników tej akcji — „Romana”. „Biegniemy — opowiada „Roman” — „Leon” na przodzie, „Marek” z towarzyszem za nim, ja na końcu. „Marek” z kolegą skręcili w Kruczą. Zastępuje nam drogę samochód pełen Niemców. Walę z pistoletu do auta i tym zmuszam do zejścia nam z drogi. „Leonowi” wypadł z kieszeni granat. Podnoszę go i biegnę dalej. „Leon” zrzuca swój płaszcz i kapelusz, biegnie w swym jasno-niebieskim garniturze. W pierśiach brak mi tchu. Słyszę za sobą pościg. Cała ulica zatarasowana autami i motocyklami. Wszystko strzela z automatów. Koło mnie przelatują ze świstem pociski, rwąc trotuar. Czuję, że jeszcze nie jestem ranny. Już blisko Marszałkowska. Pościg jest tylko kilka metrów za mną. Grzechot automatów i szcęk pistoletów. Kule walą w mur i w bramę. Dozorca chce ją zamknąć i pada trupem. Czwartą dom od Marszałkowskiej. Wbiegam do bramy i dostaję się na podwórko, potem na klatkę schodową, na ostatnie piętro. Kobieta jakaś pierze bieliznę. Żądam od niej klucza od poddasza. Wbiegam na poddasze i dymnikiem wychodzę na dach. przechodzę kilka domów po dachu i znów dymnikiem na poddasze, które znajduję zamkniętą. Robię z rupieci barykadę, nabijam magazynki amunicji, ostatni granat kładę obok siebie i czekam śmierci. Nie poddam się. Nie będę mnie dreczyć. Staje mi przed oczyma twarz żony. Nie chcę o tym myśleć. Lepiej nie myśleć o niczym. Jedno mnie tylko martwi. Czy „Leon” wykorzystał to, że zatrzymałem nieco Niemców? Czy udało mu się zbiec, bo za „Markiem” pościg nie poszedł, tylko za nami. „Leon” biegł środkiem ulicy, a nie pod murem, jak ja.

Zaczynam przychodzić do siebie. Mija 15 minut, potem 30, godzina. Nie przyszli. Wychodzę na klatkę schodową i na podwórko, potem na ulicę i wolno idę do Marszałkowskiej. Jeżdżę tramwajem w różne strony dla zmiana obserwatorów gestapo. Następnie idę na Chełmską 26 do lokalu konspiracyjnego, gdzie mam papiery i drugie ubranie.

W tym samym czasie grupa pod dowództwem „Lolka” (Żurawskiego), w której skład wchodził „Janusz”, „Stasiek” i jeszcze jeden gwardysta o nieznanym nazwisku i pseudonimie, znajdowała się już na Placu Teatralnym, „Lolek” i „Janusz” trzymali ręce w kieszeniach, ściskając odbezpieczone granaty. Dwaj ich towarzysze, uzbrojeni w pistolety mieli stanowić osłonę. Plac Teatralny nie nadawał się do wykonania akcji odwetowej. Koło pałacu Blanka, pod arkadami Teatru Wielkiego i na wysepkach tramwajowych kłębiło się sporo niemieckich żołnierzy. Grupa ruszyła na plac Żelaznej Bramy z zamiarem wrzucenia granatów do tramwaju nr 0, pełnego niemieckich oficerów.

Na placu Żelaznej Bramy tłumy handlarzy i kupujących. Tu zaczęło się nadzwyczaj męczące oczekiwanie na odpowiedni tramwaj. Jak na złość nadjeżdżające tramwaje niemieckie były prawie puste. Gwardzistom mdały ręce, zaciśnięte szczerlnie na granatach. Zniecierpliwieni podchodzili do Ogrodu Saskiego, aby prędzej zauważyć odpowiedni tramwaj, podążający od Marszałkowskiej. Wreszcie nadjechał jeden z tramwajów numer zero, wypełniony kilkunastoma osobami, z przewagą oficerów SS. „Lolek” postanowił uderzyć.

Całą siłą woli skupił się na jednym: dobrze wrzucić granaty. Każdy nieostrożny i niewłaściwy krok — to śmierć. Gdy tramwaj przejechał Graniczną do placu i zatrzymał się na przystanku, „Lolek” i „Janusz” zeszli z chodnika i zbliżyli się do tramwaju od strony jezdni. Wrzucenie granatu do tramwaju przez otwarte okna nie przedstawiało większego zachodu. Jeden zamach ręki i oba granaty znalazły się wewnątrz wozu. Teraz należało się wycofać.

Z okrzykiem „łapanka, uciekać” rzucili się obaj gwardziści w tłum. Te dwa słowa wy-

starczyły, ażeby w okamgnieniu cały plac nabrał wyglądu pokładu okrętu trafionego torpedą. Kupujący uciekali na oślep. Handlarze chwytały towar, inni zamykali stragany. Dwa wybuchy granatów zastały już gwardystów w pobliżu Hal Mirowskich. W następnych minutach byli już wraz z tłumem poza zasięgiem nieprzyjacielskiego pościgu.

Wszystkie te trzy akcje odwetowe Gwardii Ludowej przyniosły Niemcom pokaźne straty, zwłaszcza wśród oficerów. Trudno obecnie ustalić dokładne cyfry, w każdym razie liczba zabitych i rannych sięgała kilkudziesięciu osób. Jednakże nie pod kątem strat ilościowych Niemców należy oceniać wyniki akcji odwetowych G. L. Ważniejszy był niewątpliwie fakt, że akcje odwetowe spotęgowały wśród szeregów wroga paniczne nastroje, zwiększyły ostrożność i zmuszały do liczenia się z siłami podziemnymi.

Jednocześnie te same zbrojne akcje odwetowe przyczyniały się znakomicie do wzmożenia wśród Polaków wiary we własne możliwości, umocnienia przekonania o sile i prężności Polski Podziemnej i przeświadczenia, że każdy cios okupanta w naród polski nie pozostanie bez odpowiedzi.

Stanisław Nienaltowski

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

KŁADKA

Płynie rzeczka, dnem złotym błyska,
czerni odbija pobrażonych jeżyn.
Chybotliwa, zielona, śliska
stara kładka na wodzie leży.

I tuż nieba małeńkie grudki:
niezabudki, których nie zrywaj...
Zostaw trochę cichego smutku
gdy jest cała ziemia szczęśliwa!

MIÓD

Żeby słowo nie było martwe
jakby w ulu pszczoła pobiła —
wychył słodczy ciężkim półgarncem
pozbiieraną w krzakach i w żyłach.

Miód ciemniły zapachem ciągnie.
Jeszcze łot w nim złowawy byka.
Myśli także sycisz jak słagwie
i odczuwasz jak błogość wnika.

Mocno trzymać się nie omieszkaj.
Nie dlatego, byś był pijany.
Tylko szczęście jak wiatr na przestrzał
chce przewrócić domy i łany.

W poprzednim 27 (84) numerze „Odrodzenia” z dnia 7 lipca 1946 r.: Aleksander Puszkina (przełożył Julian Tuwim); Eugeniusz Oniegin. Rozdział drugi. — Julian Przyboś: Próba oka. — Jerzy Andrzejewski: Zagadnienie antysemityzmu polskiego (I). — Tadeusz Peller: W związku z „Tartuffem” w Krakowie. — Franciszek Gł: (rysował Adam Marczyński): Z rajzerami na etapach PURU. — Tadeusz Dobrowolski: Wystawa współczesnych rysunków francuskich w Warszawie. — Z Ogólnopolskiego Salonu w Warszawie (Zygmunt Radnicki, Włodzimierz Sawulak). — Tadeusz Dobrowolski: Wystawa bieżąca i wystawy w Krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. — Marian Promiński: Kronika filmowa. — Kazimierz Wyka: Socjalizm, komunizm i katolicyzm. — Polski Słownik Biograficzny. — Julian Tuwim. — Tadeusz Breza: Z teatrów krakowskich. Śmiechy i śluby. — Korespondencja (J. K. Debowski, ks. Henryk Weryński). — Jaszcz: Przegląd prasy. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia”. (Adam Bar, Helena Gajewska, Zdzisław Hierowski, Maria Kasprowiczowa, Jerzy Michalski, Marian Tyrowicz, Stanisław Ziemecki). — Stefania Łobaczewska: Muzyka polska na terenie międzynarodowym. — Konstanty Grzybowski: Pas d'ennemi à droite. — Jaszcz: Dzisiaj „Dziś i Jutro”. — 11 ilustracji. — 12 stron.

Ostatnia Nowość!

239

STEFAN OTWINOWSKI
CZAS NIELUDZKI

Str. 130

Zł. 130-

Do nabycia we wszystkich księgarniach

„OFICyna WYDAWNICZA”

Katowice, ul. Mińska 2

Tel. 366-87 i 334-85

P. K. O. III/4949

KSIĄŻKI - NUTY - CZASOPISMA

sprawnie dostarcza

KSIĘGARNIA GDAŃSKA

A. KRAWCZYŃSKI

GDAŃSK-Wrzeszcz

Al. Grunwaldzka 66

Dział antykwaryczny: Książki rzadkie — wy-
czerpane — okazjonalne. Stare druki, polskie
i w jęz. obcych. GRAFIKA-SZTYCHY
Sprzedaż — Kupno

238

JERZY ZAWIEYSKI

Sonata Henryka*)

W naglej ciszy, przerwanej wejściem a potem odejściem Józefa, — w pauzie, która wyrażała gotowość współbrzmienia artysty i instrumentu — Henryk rozłożył ręce po obu stronach klawiatury i w jakiejś chwili — zagrał.

Hubert starał się opanować niepokój, odczuwany fizycznie, dlatego mocno zważył kolana i ścisnął ręce, które mu drżały. Zastanawiał się, co Henryk gra? Bacha? Beethovena? Chopina? Męczyło go to przez chwilę, ale zaniechał tej ciekawości, która w tym wypadku była bezprzedmiotowa, nie wyjaśniająca i tak niczego. Ważna była sama muzyka, rozpoczęta uroczystym, powolnym andante, wznoszącym się do jasnego allegro i znów powracającym do właściwej tonacji i właściwego, jednolitego charakteru. Hubert ulegając muzyce, otwarty na wszelką jej magię, — nie przestawał śledzić samego procesu stawania się jej i nie przestawał obserwować Henryka, od którego wszakże zależał cały ten bezmiar muzyczny. Przejęty wzruszeniem podziwiał Hubert celowość budowy tego andante, które rozwijało się w liniach czystych, następujących po sobie w jakiejś architektonicznej zwięzłości. — Cóż znaczyła ta twórczość tonów — myślał Hubert — celowa i dająca się pojąć, a równocześnie niepojęta, zmierzająca ku czemuś bez granic, wolna, niezależna? Czy można ją wyrazić? opowiedzieć? przemienić w obrazowość? określić co zawiera? i czym jest?

Hubert raczej odczuwał, niż wyraźnie formułował te pytania, porwany teraz rodzajem się motywem andante, idącym z głębi tonacji „dur“ i rozwijającym się w bogactwo frazy muzycznej, rozległej, rozfalowanej, jak obszar morza, jak drganie eteru, w nieskończonych przestworach. Niektóre figury muzyczne odsłaniały równocześnie nowe krajobrazy, połączone z głównym motywem w całość niepojętą w swą kunsztowność, w stłoczeniu niespodzianych olśnień. Zdawało się Hubertowi, zwłaszcza w bolesnym, ścichającym ritardando muzycznym, że cała piękność tego fragmentu — to tylko płynny ruch ręki, posłusznie ożywiającej klawisze, — i czujne jej porozumienie z Henrykiem, którego funkcja polegała na słuchaniu, jakby nie on, lecz ramię jego odbierało z instrumentu te wieloznaczne głosy życia. W tym pochyłonym, cierpliwym słuchaniu Henryka była zawarta według Huberta cała tajemnica jego muzyki, cała jej ludzka powaga.

Motyw andante przewijał się teraz samotnie, był jednolity i szlachetny w tonie, prosty i surowy. Uwolnił się od innych figur muzycznych — pomocnych, olśniewających w swych niespodzianych vibracjach — i trwał samoistnie, rozwijając się w liniach prostych, w ich powtórzeniach, w ich nawrotach do tego samego, uporczywego akcentu. Ogłocone, surowe oktawy szły ku jakiemuś ściszeniu, ku żalosnemu pianissimo, w którym grały pauzy, samo falujące szeptami powietrze, — samo milczenie. W głębi tej muzyki, pod jej powierzchnią istniały jakieś nowe prawa dźwięków, stwierdzające, że muzyka jest także cisza, jest próżnia pomiędzy taktami — jest mądry spokój — jest nieruchomość. Natężone słuchanie Henryka było słuchaniem cizy, którą posłusznie dawały oktawy, muskane jego ręką, tym czułym instrumentem obdarzonym tajemnicą trafnego słowa muzyki. Hubert bronił się przed żałością, przed rozpaczą pianissima, ale w końcu uległ jego dławiającej mocy i w jakimś miejscu, w jakiejś nieznacznej zmianie, zapowiadającej przejście do nowej tonacji — zobaczył nagle Edytę i jezioro. Muzyka układała się teraz w rzeczywistość ludzką, była obrazem, słowami, zespolem gestów, pragnieniem zatrzymania nieodwołalnej zguby czasu. W tym żalu minionego słyszał Hubert głos Edyty, jego molowy głęboki i ciemny akcent, który teraz zestrajał się z ciszą muzyki w coś zgodnego, co tłumaczyło się nawet jako konieczność całego andanta. Do tego zmierzał ten motyw główny, aby w miejscu nieznacznym odsłonić jakąś dawną zapomnianą rozmowę — tak odległą i dziwną, jakby naprawdę nigdy jej nie było.

Obrazowość muzyki ukazywała Hubertowi Edytę, idącą brzegiem sławńskiego jeziora, zapatrzoną w jego głębie, Edytę szukającą w obcym krajobrazie powtórzenia swego dzieciństwa, powtórzenia czasu, który przeminał. Gdyż w takim jeziorze utonęła jej matka, której Edyta nigdy nie знаła, bo wówczas, gdy to się stało — miała zaledwie dwa lata. Ale prowadzono ją często nad jezioro i mówiono, że tam jest grób matki w głębi, na dnie. To jezioro w dalekim północnym kraju było podobno takie samo, jak tu — z lasem po obu stronach, ciemne i szkliste. Edyta bała się tej wody, ale mimo to lubiła tam chodzić i lubiła długo patrzeć na jej gładką powierzchnię. O tym swoim pamiętnym dzieciństwie mówiła kiedyś w pewne jesienne popołudnie przed zmierzchem — ciche, nieco omglone oparami jeziora. Mówiła o tym w prostych słowach, których teraz Hubert nie mógł sobie przypomnieć — nie mógł powtórzyć — po-

mimo wysiłku ich uszeregowania, ich zestawienia w całość. Ale te jakieś zdania Edyty usiłujące utrwalić minione — miały w sobie tę samą żarliwość co mowa pianissima w naczelnym motywie andanta. Hubert widział Edytę tak wyraźnie, tak konkretnie, jakby w tej chwili była przy nim naprawdę — nieco bledsza, bardziej cicha niż zwykle, wymawiająca wolno te jakieś słowa trudne do zrozumienia, tak trudne, jak to bywa czasami tylko w snach.

Obraz Edyty rozwiał się nagle pod wpływem jasnych, porywających dźwięków allegro, które szło niewstrzymanie w górę, chwiała się, opadało, nabierało znów pędu, cichło nagle, i toczyło się równym pogodnym strumieniem. Ale w jasności allegro był jakiś osobny motyw, powracający stale, choć rzadko, który wpłatał się smutkiem w tę radość, w ten zachwyt życia. Dobywał się ze stukotów basowych i drgał w powietrzu pomimo przemocy całej pieśni allegro, rytmicznej, podkreślanej nierozwiniętymi motywami melodii. Hubert nie mógł nadażyć w obserwacji żywiołu muzyki, nie mógł wnikać w procesy zmian, w pochwylenie coraz to innych figur rytmicznych w nieoczekiwane przerzuty tonacji — w przejścia allegro z moderato w con brio, w con moto i znów w molto. Wyraźny i trwały był ten jeden czterokrotny stukot w basowej oktawie, który zawiązał w powietrzu pytaniem, pozostawionym bez odpowiedzi. Hubert pragnął odgadnąć ten dźwięk, jedyny i samotny, wyodrębniony od zwartej całości — i nazwał go słowami, których się zaraz zawstydził, gdyż były zarówno zbyt wielkim, jak i zbyt małym odpowiednikiem symbolicznej mowy muzyki. Lecz mimo to — te pomyślane jego słowa, że ten motyw w allegro jest „szczęściem utraconym“ — trwały w nim tak samo uporczywie, jak ta basowa oktawa w budowie muzycznego zdania. Hubert zezwalał w sobie na zjawienie się uczucia, które naniósł te słowa — słowa „niedopuszczalne“, „bezsensowne“, jakby je, na przykład, określił Henryk. Z wielkim wysiłkiem starał się Hubert pochwylić idącą za sensem muzyki i za sensem pomyślanych słów utracone własne szczęście życia — jakąś choćby jedną jego smugę, choćby zapowiedź tylko, jeśli nie spełnienie. Obraz Edyty nie mógł być tym, czego Hubert teraz pragnął, tak, jakby Edyta nie wniosła w jego życie nic z tego wieloznacznego pojęcia szczęścia. Rzeczywistość Edyty należała do innego wymiaru, tłumaczyła się w kategoriach niedopasowanych do tego słowa, była czymś osobnym. W całej przeszłości — zdawało się Hubertowi — nie było nic z żywiołu tego jasnego allegro, które teraz rozwijało się w kapryśnych zgięciach, w drżących vibracjach — w miękkich akordach dolce, i w przejmującej mowie basów.

Hubert przymknął oczy i poczuł żal za tym, co nie istniało, co nie miało żadnej nazwy, — i co nie mogło być tym czymś „utraconym“, ani „zgubionym“, jak to przedtem sformułował w swych myślach. Rozciągała się przed nim pusta płaszczyzna monotonna, tak, jakby nie było nawet ludzi, nawet zdarzeń — jakby nie istniała młodość, warunkująca sobą podobną substancję uczucia, jaką niosło radosne allegro, przechodzące chwilami w jakieś formy muzyczne, które dla całości utworu miały znaczenie oddechu lub pauzy. W pamięci Huberta nie zjawiał się żaden odpowiednik tego, co wyrażała muzyka, obca w tym fragmencie, — niczym nie zespolona z jego życiem. Stwierdzał to z goryczą słuchając tego daremnego wezwania do współuczestnictwa w żywiole radości.

W jakiejś chwili muzyka zmusiła Huberta do poprzedniego skupienia, gdyż następowały w niej przejścia do nowej tonacji, otwierającej tym razem krajobraz tak dziwny, że Hubert całym ciałem przechylił się w stronę Henryka. Słuchając wiedział, że teraz właśnie w muzyce jest jej chwila najwyższa — że osiąga się tu jakieś spełnienie i otwiera się tajemnica ukazująca jakąś nieznana rzeczywistość, pozaludzką. To, co teraz było, nie pragnęło się tłumaczyć, ani słowem, obrazem, gestem — niczym, co by dało się nazwać, zastosować lub ująć w kształt konkretny. Hubert drżał, aby to technicznie niepoznane, ta radość, to szczęście, — trwało długo, aby się nie straciło, aby mogło być zatrzymane. Lecz jak? — zastanawiał się — jak to zatrzymać, jak zapamiętać? Podparł dłońmi głowę i słuchał bezradny z bijącym sercem — rozdręganą w powietrzu mowę muzycznej, niewyraźnej, pozbawiającej zabiegów świadomości. Równocześnie czuł, jakby ta piękność motywu w muzyce Henryka była odwiedzinią z tamtego brzegu, otwarciem się wieczności w stronę życia, łaską człowieczeństwa. Hubert dodał w myśli „łaską ocalenia“ — i poczuł rumieniec na czole, zstępujący głęboko na twarz i szyję. Wiedział bowiem, że jedynie to, co szło z muzyki, mogło ocalić jego winę wo-

bec Edyty, — mogło ocalić każdą winę i każdy grzech, gdyż na to się zjawiało czyste i najwyższe, aby tego ocalenia dokonać. Czyż nie to jest — rozmyślał Hubert — przeznaczeniem muzyki, przeznaczeniem każdej sztuki?

Teraz muzyka zwracała się wprost do Huberta, do tego, co było w nim tajemnicą, jego upadkiem, błędem życia. Z głębi basowej oktawy szła myśl muzyczna, która pragnęła dotrzeć do samej zasady istnienia, dobrać się pod powierzchnię życia i zażądać wytłumaczenia jego dróg i jego celu.

Hubert czuł, że od nieubłaganej siły tej muzyki drętwieje mu skóra, tak jakby umierał — tym bardziej, że teraz akordy łączyły się w rytmiczny marsz pogrzebowy, który wyraża walkę życia ze śmiercią. Wszystko w tej muzyce było Edytą, jej losem, jej niewinnym cierpieniem, zadaniem, jak Hubert to sobie

Niedoceniona przyjaciółka

Na dwa a może trzy lata przed wojną, do Biblioteki Jagiellońskiej zajrzał w poszukiwaniu materiałów do przyszłej powieści o śląskim Janosiku, Ondraszku, Gustaw Morcinek. Uczynna ręka bibliotekarza podała mu wówczas „Bibliografię ludoznawstwa polskiego“ Franciszka Gawelka. I jakże wówczas się dziwił, jak zachwycił uszczęśliwiony autor „Wyrąbanego chodnika“ odkryciem takiej kopalni legend, wierzeń, przesądów i anegdot. Istotnie z „Bibliografii“ Gawelka można czerpać pełnymi garściami wiadomości o literaturze dla ludu, a przede wszystkim o literaturze i kulturze chłopca, która, jak się okazuje, już choćby na przestrzeni 1800—1910 jest wcale bogata, ciekawa i różnicowana.

Choćby wśród powodzi książek, czasopism i artykułów tak niesłychanie pomocna jest bibliografia każdemu kto studiuje, czy pisze, to jednak nie doceniają jej zarówno uczni, jak i literaci, co dopiero mówić o młodych adeptach wiedzy i pióra! Bibliografia miała i ma u nas swych nielicznych miłośników, znawców, specjalistów i teoretyków jak: Lelwel, Bohatkiewicz, Estreicher, Finkel, Wierczyński, Hahn, Grzegorzczak, czy Friedbergowa. Na ogół szary człowiek, a nawet znankomity autor zawiera z nią znajomość całkiem przypadkowo i wówczas otwiera szeroko oczy zdumiony, że wyłamywał dawno otwarte drzwi, że poszukiwał, zestawiał autorów i tytuły dzieł, a wystarczyłoby tylko zajrzeć do specjalnej bibliografii, aby zaoszczędzić sobie wiele czasu i trudu.

W jaki sposób zorientować się w istniejących bibliografiach, polskich i zagranicznych?

Niesłychanie pożyteczny i wartościowy, niestety wyczerpany, jest „Przewodnik dla korzystających z bibliotek“ J. Gryca, naczelnego dyrektora bibliotek polskich. Mała ta książeczka wymagałaby koniecznej reedycji i uzupełnień, bo została wydana w r. 1925 i dziś co najmniej dwukrotnie zwiększyłaby swą objętość. Również nitką Ariadny jest „Bibliografia bibliografii, bibliotekarstwa i bibliofilstwa“ stanowiąca dodatek do „Przeglądu Bibliotecznego“ (Kraków 1932—1938). Niewielu zdaje sobie sprawę, że bibliografia nie tylko rejestruje dzieło, ale ukazuje je w świetle krytyki sprawozdawczej. Brak katedr poświęconych temu przedmiotowi na naszych uniwersytetach nie przyczynia się również do popularyzacji tej dziedziny wiedzy. Na Uniwersytecie Jagiellońskim istniała kiedyś katedra bibliografii; pierwszym wykładowcą był J. S. Bandtkie w latach 1812—1835, potem J. H. St. Rzeziński i wreszcie J. Muczkowski. Poza tym w okresie przedwojennym były tylko docenty: w Poznaniu, gdzie wykładał obecny dyrektor Biblioteki Narodowej, Stefan Wierczyński, i w Warszawie, gdzie wykładowcą był najznakomitszy znawca starej książki, zmarły w czasie wojny Kazimierz Piekarski. Po strasliwym zniszczeniu naszych bibliotek czeka każdego bibliografa praca jeszcze bardziej żmudna i utrudniona, ale pracy tej zaniedbać nie podobna, jeśli leży nam na sercu rozwój naszej nauki i kultury.

Mamy wspaniałą, jedyną tego rodzaju na świecie „Bibliografię polską“ Estreichera, obejmującą całość naszego piśmiennictwa aż po koniec XIX wieku. Trzeba jednak natychmiast zabrać się do jej kontynuowania. Cenne materiały gromadzone do niej przez dr. J. Muczkowskiego leżą pod gruzami Warszawy. Kto i kiedy je odkopie? Równie paląca jest sprawa reedycji „Bibliografii historii polskiej“

tłumaczył, nie tyle przez niego, ile przez tę jakąś fatalną pomyłkę czasu, przez coś w każdym razie pozornie nieważnego, co w skutkach może doprowadzić do rzeczy najgorszych, nawet do śmierci Edyty. Przeraził się tej myśli i prędko chciał o niej zapomnieć, ale muzyka tę myśl wyolbrzymiała, gdyż teraz w utworze słyszało się tylko jęk zwyciężonego życia i patetyczny tryumf śmierci. Hubert był rad, że ten okrutny motyw pokryło końcowe rondo pełne szerokich oddechów, jasne, bezpieczne.

Niezależnie od tej muzyki nie ustępowało w Hubercie przeświadczenie, że teraz otwiera się przed nim życie, jakiego zawsze się lękał — że będzie musiał coś za całą przeszłość odrobić — że coś nowego się zacznie, i że to będzie trudne.

Jerzy Zawieyski

Finkla, zapoczątkowanej w r. 1937 przez K. Małczyńskiego.

O bibliografię literacką czasopism polskich dopominał się usilnie Stefan Wierczyński już w r. 1932, uważając ją słusznie za jedno z głównych i zasadniczych zagadnień w organizacji nauki o literaturze w Polsce.

Nie podobna mówić o monografiach naukowych bez gruntownego zestawienia bibliografii naszych czasopism i dzienników, a przecież dotąd mamy ledwie kilkanaście przeglądów treści rozmaitych czasopism i to, nie doprowadzonych do końca; jest np. zestawienie artykułów „Tygodnika Ilustrowanego“ z lat 1859—1875 i „Wiadomości Literackich“ z lat 1924—1933.

Z braku funduszy na cele bibliograficzne, na opracowywanie i druk, bibliografie specjalne pojawiały się najczęściej tylko jako odbitki, czy też nadbitki z różnych czasopism; i tak „Polska bibliografia psychiatryczna“ z lat 1930—31 jest odbitką z „Rocznika Psychiatrycznego“, zaś „Bibliografia opieki społecznej nad macierzyństwem, dziećmi i młodzieżą w Polsce“ odbitką z „Życia Dziecka“ z 1937 r.

Bibliografia ułatwia pracę uczonemu, pisarzowi, czy publicyście, jest cegiełką ogromnie ważną w budowie gmachu naszej kultury, będąc równocześnie jej przeglądem i sprawdzianem. Uznysławia i bilansuje nasz wysiłek w poszczególnych dziedzinach twórczości, co więcej dokumentuje na zewnątrz, wobec innych narodów, nasz wkład w życie kulturalne świata.

Na międzynarodowej arenie czujemy się ciągle w roli konsumentów, często uciekamy się do taniego reklamiarstwa i nazbyt powierzchownej propagandy, a tymczasem wcale nie jesteśmy tylko ubogimi krewnymi. Zawdzięczamy niewątpliwie bardzo wiele kulturze francuskiej, ale dopiero przeglądając dwa okazałe tomy bibliografii J. Lorentowicza „La Pologne en France“ (Paris 1935—1938) widzimy dowodnie, że nasza literatura, sztuka i umysłowość pozostawiły również ślady w kulturze francuskiej. I leż to np. studiów i artykułów poświęcili Francuzi Sienkiewiczowi, ileż wydań miało „Quo Vadis“, a tłumaczyło to bodaj aż ośmiu!

Bibliografia jest doskonałym środkiem zagranicznej propagandy trafiającej do warstw intelektualnych każdego narodu. W czytelniach bibliotek uniwersyteckich i wszystkich wielkich bibliotek publicznych świata od British Museum po New York Public Library — znajdziemy „Bibliografię“ Estreichera. W Leningradzie, Pradze, czy Paryżu, wśród bibliografii różnych narodów znajdziemy też dział poświęcony Polsce, niestety zbyt szczupły w stosunku do naszych istotnych osiągnięć naukowych i literackich.

Irena Barowa

Zaprenumerować „ODRODZENIE“
można w każdym urzędzie pocztowym
za pomocą przekazu pocztowego

Prenumerata kwartalna 87 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

JÓZEF WŁADYSŁAW REISS

My Granpa is playing a horn czyli muzykologia.

Mój pięcioletni wnuk, urodzony już w Ameryce, przysłał mi życzenia z intencji uroczystego „Father's Day“ amerykańskiego oraz w upominku mój „portret“ robiony kolorowymi kredkami. Na tym portrecie siedzę na wysokim krześle, na głowie mam kapelusz, a raczej kapelusz unosi się w powietrzu nad moją głową, w rękę zaś trzymam róg, a raczej trąbę i dmę w nią, czytając z tablicy nuty; podpis: „Mój dziadziu gra na trąbie“, „My Granpa is playing a horn“.

Skąd ten pomysł dziecka? Małec mnie nie zna, ale w domu słyszy, jak rodzice mówią o mnie jako o „muzykologu“. W umyśle dziecka skojarzył się ten wyraz i jego treść z obrazem człowieka grającego na trąbie. Niewątpliwie jest to śmieszne, ale mimo woli nasuwa się pytanie, czy ten obraz kojarzy się z pojęciem muzykologa tylko w umyśle pięcioletniego dziecka? Fakty mówią niestety co innego. Bo oto przed 20 niespełna laty taki sam obraz nasunął się pp. profesorom Wydziału Filozoficznego w Uniwersytecie Warszawskim, gdy wobec projektu, by muzykologię uczynić przedmiotem wykładów uniwersyteckich, powzięli uchwałę, że: „muzykologię należy wyłączyć z zakresu wyższego szkolnictwa w Polsce, ponieważ nie jest zadaniem instytucji uniwersyteckich uczenie panienek gry do tańca“!

Niewiarygodne! a jednak przedstawiciele „Instytucji uniwersyteckich“ powzięli tak honoralną i kompromitującą ich uchwałę, nie orientując się w tym, czym jest muzykologia; dla nich muzykologia była równoznaczna z **grą na fortepianie!** Konsekwentnie więc mógłby jakiś nieświadomiony półinteligent domagać się zniesienia np. katedry historii malarstwa w uniwersytetach dlatego, bo „nie jest zadaniem instytucji uniwersyteckich“ kształcenie słuchaczy na malarzy pokojowych; z równą słusznością żądałby kto inny usunięcia z programu naukowego kryminologii, bo przecież uniwersytet nie może kształcić przyszłych kryminalistów.

Uchwałę tę powzięli profesorowie warszawscy lat temu dwadzieścia. Czy dzisiaj zmieniło się wiele? Czy pogłębiło się uświadczenie ogółu? Zdaje się, że nie, mimo że w uniwersytetach naszych mamy katedry muzykologii! Niedawno temu ukazała się w krakowskim „Dzienniku Polskim“ notatka, zatytułowana: „Zgon znakomitego muzykologa“. Wedł tej notatki owym „znakomitym muzykologiem“ miał być śp. Władysław Fabry, znany ostatnio ze swych miłych pogadanek radiowych. Nie kwestionując w niczym zasług jego jako pisarza i zdolnego literata, stwierdzić należy, że śp. W. Fabry nie tylko nie był muzykologiem, ale z muzykologią nic nie miał wspólnego. Napisał on powieść biograficzną, osnutą na tle życia Stanisława Moniuszki, rzecz nie bez znaczenia dla propagandy muzyki moniuszkowskiej, pisał sprawozdania z koncertów i z przedstawień operowych, redagował czas jakiś piśmko muzyczne w Warszawie, a w rękopisie zostawił interesujące notatki o sławnych śpiewaczkach i śpiewakach.

— No więc? — zapyta ktoś, czy to nie był muzykolog? przecież pisał o muzyce! Prawda, pisał o muzyce, a jednak praca jego do muzykologii nie należy.

Większość naszej inteligencji nie orientuje się w tym, co należy przez muzykologię rozumieć. Nieraz w poglądach na treść tego pojęcia można się spotkać dotąd jeszcze z komicznym pomieszaniem pojęć nawet u ludzi wysoko wykształconych. Przyjęło się, nie wiadomo skąd, przekonanie, że muzykologia jest czymś równoznacznym z grą na jakimś instrumencie; nieraz nazywa się u nas np. muzyków orkiestralnych „muzykologami“. (Konsekwentnie więc za pierwszego muzykologa na Litwie powinien by uchodzić Wojski z „Pana Tadeusza“ ze względu na swą wirtuozowską grę „na rogu bawolim“).

Czym jest zatem muzykologia? Zanim znajdziemy odpowiedź na to pytanie, ustalmy najpierw negatywnie, co muzykologią nie jest, a co mylnie uchodzi za muzykologię w przekonaniu ogółu. W niektórych naszych księgarskich przed wojną widniały na poszczególnych działach książek, zestawionych według systematyki nauk, napisy orientacyjne. Wśród nich umieszczony był także napis: „muzykologia“, reprezentujący osobny dział wśród „musicaliów“. Cóż tam było w tym dziale? Oto przeróżne podręczniki do nauki śpiewu w szkołach, do nauki zasad muzyki, solfeżu, do nauki harmonii a przede wszystkim były tam niezmiennie liczne śpiewniki kościelne i szkolne. A więc muzykologia? Nic podobnego! Były to tylko pomoce szkolne, nieraz bardzo cenne jako podręczniki dydaktyczne, ale z muzykologią nie pozostawały one w najmniejszej nawet związku. Dla plastyczniejszego wyjaśnienia podam inny jeszcze przykład, przy czym zmuszony będę powołać się na własne swoje prace; czynię to bardzo niechętnie, i nigdy dotychczas sam siebie nie cytowałem, a nawet w spisach bibliograficznych unikałem przytoczenia jakiegokolwiek swojej pracy, z cze-

go nieraz czyniono mi zarzut. Dzisiaj odstąpię od swej zasady i dla przykładu wezmę własną „Historię muzyki“ (ukazującą się obecnie w czwartym, rozszerzonym wydaniu, tradycyjnie w nakładzie Gebethnera i Wolffa). Faktem jest, że ta książka jest w sferach muzycznych rozpowszechniona, oczywiście nie dla swojej szczególnej wartości, tylko dlatego, że w literaturze naszej nie ma innej historii muzyki. Otóż do czego to wszystko zmierzają? — do stwierdzenia, że ta moja „duża“ „Historia muzyki“, która w nowym wydaniu rozrosła się do olbrzymich rozmiarów, o przeszło tysiącu stron, nie jest dziełem muzykologicznym! Wyobrażam sobie zdziwienie laików. Co więcej! nie ma ona nic wspólnego z muzykologią.

Dlaczego? Bo jest to tylko podręcznik informacyjny, syntetycznie ujęte kompendium popularyzacyjne i kompilacja nie dająca nic własnego. W przeciwieństwie do takiej pracy o wielkich rozmiarach nie jeden drobniak, za ledwo kilkunastostronicowy, może być cenną pracą muzykologiczną, doniosłą pozycją naukową o wysokiej wartości. Nieraz można by cały rozdział „Historii muzyki“ napisać „od ręki“, w bardzo krótkim czasie, tak, jak można zaimprovizować popularny wykład, czerpiąc z gotowego kapitału nagromadzonych w ciągu lat wiadomości fachowych; natomiast mała wrozmiarach praca muzykologiczna wymaga zupełnie innej metody. Nieraz dla użyskania jednego wniosku, streszczającego się może tylko w jednym, zwięzłym zdaniu, trzeba poświęcić długą pracę żmudnych poszukiwań i dociekań krytycznych. I tu dochodzi my do istoty naszego zagadnienia: czym jest muzykologia?

Określając rzecz ze stanowiska negatywnego, można by powiedzieć, że muzykologia nie jest „nauką muzyki“; praktyczne czy teoretyczne traktowanie muzyki jest przecież przed-

miotem nauki w szkołach fachowych; trudno więc przypuścić, żeby każdy uczeń jakiejś szkoły muzycznej, uczący się śpiewu, gry na instrumencie czy przedmiotów teoretycznych, jak np. zasad, harmonii, kontrapunktu, instrumentacji, form muzycznych itp. był przez to samo „muzykologiem“. Nie! ten uczeń pobiera naukę muzyki czy to dla celów zawodowych, czy tylko z amatorstwa dla pogłębienia swej kultury muzycznej.

W przeciwieństwie do tak pobieranej nauki, muzykologia jest czymś zupełnie innym. Jest to odrębny odłam nauk humanistycznych; treścią jej jest wszechstronne badanie wszystkich zagadnień związanych z muzyką. Tu właśnie zaznacza się zasadnicza różnica między muzykiem, a muzykologiem.

Muzyk żyje dźwiękiem; muzyka jest niejako w nim samym; on jest nią na wskroś przepełniony; śpiewak jest bowiem sam swoim instrumentem, który rozbrzmiewa pełnią dźwięku ze wszystkimi modyfikacjami najsubtelniejszych odcieni; wirtuoz gra na swym instrumencie, który staje się jakby częścią jego własnego organizmu; dyrygent gra na instrumencie zbiorowym, jakim jest chór, orkiestra lub obydwaj te czynniki zespolone ze sobą; kompozytor przetapia swoje własne „wizje“ słuchowe w żywy dźwięk. Jakże inny jest stosunek muzykologa do muzyki! Jest to stosunek obiektywny, pozbawiony zasadniczo pierwiastków emocjonalnych, które stanowią istotę przeżycia muzycznego. Tu bowiem muzyka nie jest źródłem wzruszeń estetycznych, lecz jest przedmiotem analitycznych, drobiazgowych, nieraz wprost mikroskopijnych badań, dociekań, rozważań i ostatecznych wniosków opartych na przesłankach naukowych; muzyka jest tu obiektem, leżącym poza nami. Nie znaczy to jednak, aby muzykolog pozbawiony był zdolności odczuwania i wżywiania się w piękno muzyki i jej oddziaływanie emo-

cjonalne. Ale ten uczuciowy stosunek do muzyki nie jest warunkiem nieodzownym; jest to tylko pożądany łącznik między badaczem a dziełem stanowiącym przedmiot badania. W wielu wypadkach ów czynnik uczuciowy może wpłynąć ujemnie na obiektywność sądu, zwłaszcza jeśli idzie o ustalenie wartości jakiegoc dzieła muzycznego

Muzykologia nie ma nic wspólnego z praktyką muzyki; jest to sfera czysto teoretyczna, rozpatrująca zagadnienia muzyczne albo ze stanowiska historycznego, albo ze stanowiska techniki muzycznej i stylu muzycznego w związku ze stanowiskiem abstrakcyjno-estetycznym, lub wreszcie ze stanowiska socjologicznego. Zależnie od rodzaju swych badań stosuje muzykologia odpowiednie metody. Jako dyscyplina o charakterze historycznym posługuje się muzykologia materiałem źródłowym, poddaje go krytycznej rewizji i tworzy z niego konstrukcje, ujmujące syntetycznie wyniki analizy; jako dyscyplina, zajmująca się techniką i stylem muzyki, zbliża się w swych metodach do takich samych metod, które stosują w swych badaniach nauki filologiczne, a jako dyscyplina socjologiczna musi szukać wszechstronnego związku z biologicznymi warunkami życia i wszelkimi prądami kultury.

Jak widać, zakres zagadnień muzykologicznych jest niezmiernie rozległy, a związek z praktyką muzyczną w rzeczywistości dość luźny. Z doświadczenia wiem, jakiego rozczarowania doznają ludzie, zresztą o wysokiej kulturze intelektualnej, dowiedziawszy się, że można być muzykologiem i to nawet zupełnie dobrym, a nie grać na żadnym instrumencie, nie śpiewać, nie dyrygować, ani nie komponować. Że to jednak możliwe, to chyba wynika z wywodów niniejszego artykułu.

Józef Władysław Reiss

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia“

Florian Barciński: Wobec kompletnego po wojnie braku podręczników akademickich z zakresu geografii gospodarczej, pracę powojenną rozpocząłem od napisania „Geografii gospodarczej ogólnej“ (str. 175) oraz „Geografii gospodarczej Polski“ (str. 315), wydanych w roku 1945 w formie skryptów przez Koło Naukowe Studentów Akademii Handlowej w Poznaniu.

Obecnie Narodowy Instytut Postępu w Poznaniu drukuje przerobione i przeznaczone dla młodzieży drugie wydanie „Podstawowych zasad ekonomiki“.

Ostatnio napisałem dla „Czytelnika“ popularno-naukową książeczkę „Bogactwa kopalniane Polski współczesnej“. Na warsztacie mam podobną książeczkę o Związku Radzieckim.

Henryk Barycz: Sprawozdanie z bieżącej pracy pisarskiej zacząć muszę od skonstatowania trudności wydawniczych, jakie stoją przed uczonymi polskimi w publikowaniu ich wyników badań. Na rozwój twórczości naukowej działało to ogromnie hamująco, zwłaszcza gdy się widzi, że prace wykonane w najlepszych warunkach wojennych, wśród wielorakich niebezpieczeństw, za cenę niestęchanego wysiłku, pozostają nieopublikowane. Wydawców znajdują broszury popularno-naukowe albo o tematach wybitnie aktualnych. Na inne tematy w repertuarze wydawniczym po prostu nie ma miejsca. Na dłuższą metę grozi to dużym obniżeniem poziomu nauki polskiej. Poza tym trudne warunki materialne zmuszają do rozpraszania działalności pisarskiej na drobne dorywcze artykuły i rozprawki, przez co przybiera coraz bardziej charakter pracy wyrobniczej.

Z czasów okupacji niemieckiej poslałam gotowe trzy tomy studiów z dziejów kultury polskiej („Italo-polonica“, „Studia z dziejów wychowania w Polsce“, „Zagadnienia historyczne“), kilka wydawnictw źródłowych, pomijając przepaść wr. 1944 rękopis syntetycznego dzieła o dziejach uniwersytetów polskich od połowy wieku XIV do 1939 r. Z większych rzeczy piszę w tej chwili, na zamówienie jednej z przedwojennych firm wydawniczych, książkę o polskim życiu umysłowym we Wrocławiu w XIX wieku. Na drugim planie mam rzecz o losach szkolnictwa, oświaty i kultury polskiej pod okupacją niemiecką 1939–1945 z rzutem oka wstecz. Wreszcie na 600-lecie założenia Uniwersytetu w Pradze (8 kwietnia 1948), pierwszego na ziemiach słowiańskich uniwersytetu, opracowuję częściowo na podstawie zebranych przed wojną materiałów archiwalnych większe studium pt. „Uniwersytet praski a Polska w XIV–XVI wieku“. Piszę je na los szczególnie, nie wiadząc, czy znajdzie nakładcę. O innych zamierzeniach, które pozostają jeszcze w sferze projektów, nie będę wspominał.

Antoni Galecki: Przede wszystkim proszę przyjąć wyrazy szczerzego uznania za zorganizowanie szczegółowej ankiety na temat bieżących prac uczonych i pisarzy, ankiety, która rzeczywiście powinna przyczynić się do wzbudzenia wśród szerszego ogółu zainteresowania sprawami naszej nauki i literatury.

Odpowiadając na te ankiety, komunikuję: W najbliższych dniach wyjdzie spod prasy mój „Zarys chemii fizycznej“ (Księgarnia Akademicka, Poznań, 1946), przeznaczony dla studentów farmacji, przyrody i medycyny.

Przygotowuję do druku większy podręcznik tegoż przedmiotu, jak też podręcznik do ćwiczeń z chemii fizycznej, oba przeznaczone do użytku studentów wyższych uczelni.

Od dłuższego czasu piszę „Fotochemię“, zamówioną przez prof. T. Miłobędzkiego do jego wydawnictwa, które ma się ukazać pod tytułem „Chemia ogólna“.

Poza tym opracowuję publikację (w języku polskim i obcym) na tematy bieżących naukowych prac laboratoryjnych i teoretycznych, które zawierać będą wyniki badań częściowo przedwojennych, częściowo zaś najnowszych. Są to prace ściśle badawcze z zakresu chemii kolloidów, fotochemii oraz miedzi o korozji metali.

W dalszej przyszłości mam zamiar wydać moje wykłady „Dzieje myśli chemicznej“: uwzględniam w nich szczególnie autorów polskich.

Na zakończenie proszę zauważyć, że nasz wydawca są zazwyczaj za przysłowiową górą, do której kieruje swe kroki Mahomet; dla samej jednak sprawy byłoby lepiej, gdyby tak górą potrudziła się czasami do Mahometa.

Zdzisław Kaczmarski: Dzięki wyjątkowo sprzyjającym okolicznościom mogłem cały czas okupacji niemieckiej w Polsce poświęcić pracy naukowej,

przebywając początkowo 1½ roku w Częstochowie, potem 4 lata w Krakowie. Stąd twórczość nakowa pochodząca z tych czasów jest dość obfita, przy czym dużo zawdzięczam to temu, że miałem poparcie finansowe firmy Arct w Warszawie, dalej tajnego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, a przede wszystkim pomoc i rady prof. Zygmunta Wojciechowskiego, twórcy Instytutu Zachodniego. Dziś cały mój wysiłek skierowany jest wyłącznie w kierunku wydawania drukiem napisanych wówczas prac.

W roku jest moja praca „Monarchia Kazimierza Wielkiego“, t. II: „Ustrój Kościoła, sztuka i nauka“, wydawana przez Księgarnię Akademicką w Poznaniu. Jest to dalszy tom mej pracy o monarchii Kazimierza Wielkiego, której pierwszy tom ukazał się tuż przed wojną i obejmował ustrój państwa. Instytut Śląski w Katowicach drukuje moją obszerną pracę: „Dzieje Śląska w średniowieczu do r. 1526“, która jest pierwszym popularnym ujęciem historii Śląska opartym na najnowszych zdobyczkach nauki polskiej. Celem szkolnym, zwłaszcza liceum, ma służyć „Krótka historia Śląska w wiekach średnich“, drukowana przez Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych w Warszawie. Wszystkie te prace opuszczają prasę drukarską jeszcze w tym roku.

Równocześnie przygotowuję drugie wydanie mej „Kolonizacji niemieckiej na wschód od Odry“, która była wydana przez Instytut Zachodni w Poznaniu w zeszłym roku i jest już na wyczerpaniu. Wydanie to będzie nieco zmienione i poszerzone. Jesienią mam zamiar oddać do druku monografię o **Kazimierzu Wielkim**, która została zamówiona przez firmę Arct w Warszawie do tzw. Biblioteki Wiedzy o Polsce. Na jesień ukończę też broszurę zamówioną przez St. Helszyńskiego dla Państwowych Zakładów Książek Szkolnych „Jak germanizowano Polskę“. Równocześnie pracuję jako redaktor i wydawca niektórych zeszytów tzw. Biblioteki Źródeł Historycznych, która powstała z mej inicjatywy, celem dostarczenia studentom seminariów historycznych i pracowników naszych uniwersytetów tekstów do ćwiczeń. Zeszyty tej biblioteki wydawanej przez Księgarnię Akademicką w Poznaniu mogą również służyć i naukowcom, uczniom licealnych i szerszej publiczności. Dotąd ukazały się 4 zeszyty tej biblioteki, z tego w moim opracowaniu dwa: 1. Artykuły Henrykowskie, 2. Konstytucja 3 Maja. Przygotowuję właśnie tzw. Prawa Kardynalne z lat 1768–1791.

Po uporaniu się z korektami wszystkich wymienionych prac mam zamiar przystąpić, prawdopodobnie w r. 1947, do napisania trzeciego tomu „Monarchii Kazimierza Wielkiego“, który by objął ustrój społeczeństwa wraz z tzw. kolonizacją na prawie niemieckim. Materiały do tej pracy zebrałem podczas wojny. W czasie wojny zebrałem też materiały archiwalne odnoszące się do sądów lennych i wyższych prawa niemieckiego w Polsce. Mam więc zamiar opracować dwa jeszcze związane z tym zagadnieniem tematy. Jeden syntetyczny objąwszy temat odnoszący się do genezy organizacji i rozmieszczenia sądów lennych i wyższych prawa niemieckiego w Polsce, drugi byłby obszerną monografią sądu wyższego prawa niemieckiego na zamku krakowskim w latach 1333–1795. Monografia obejmowałaby historię tego sądu, jego ustrój oraz obowiązujące w nim postępowanie sądowe. Jako uzupełnienie tej pracy są przewidziane spisy urzędników, mapy obrazujące kompetencje terytorialną sądu oraz najważniejsze niezbrane ustawy i rozporządzenia odnoszące się do tego sądu.

Wilhelm Szewczyk: Przed niecałym rokiem wydałem w Instytucie Śląskim tom wierszy „Posagi“, który poza „Kuznicą“ nie doczekał się żadnej wzmianki na łamach innych pism literackich.

W tych dniach Książnica-Atlas we Wrocławiu wydała mój odczyt w ramach kursu „Oblicze Ziemi Odzyskanych“ pt. „Śląski trud literacki“ o pisarzach Ślązakach wieku XIX i XX. Książeczka nie jest historią literatury śląsko-polskiej w ostatnich dwu wiekach, lecz impresyjnym przewodnikiem po jej najtypowszych polskich zjawiskach.

Na warsztacie mam postać biskupa wrocławskiego Nankera herbu Oksza z w. XIV. Piszę o nim dramat i pragnę, by rolę biskupa zagrał Adwentowicz. Ponadto ukończyłem literacką biografię Nankera. Praca redakcyjna w „Odrze“ i codzienny nauczanie słuchaczy stacji niemieckich do prowadzonej w „Odrze“ rubryki „Co robią Niemcy“ zabierają mi sporo czasu.

Stanisław Szczotka: Po otrząśnięciu się z przeżytych wojennych mojem przystąpić do kontynuowania pracy badawczej nad przeszłością chłopów w Polsce. Niestety działania wojenne na tzw. przyczółku bara-

nowskim i związane z nim zniszczenie miasteczka Stopnicy, gdzie mieszkalem przez ostatnie lata okupacji, nie oszczędziły również moich notatek źródłowych i pewnej części rękopisów gotowych już opracowań. Przepadła m. in. monografia buntu Kostki Napierskiego w 1651 r.; odnotowanie jej będzie nader trudne ze względu na zniszczenie niektórych archiwów i bibliotek, posiadających materiały do tego zagadnienia. Inne rzeczy w większej lub mniejszej mierze dadzą się odrobić (wśród nich „Polskie zbójnictwo góralskie w świetle legendy i prawdy historycznej“).

Obecnie drukuję: a) „Udział chłopów w walce z potopem szwedzkim“, jest to gruntownie zmienione i w dwójnasób uzupełnione, a tym samym bardziej dogmatyczne nowe wydanie pracy, jaką pod tym tytułem ogłosiłem w 1939 r. a która w lwiej części wskutek wydatków wojennych przepadła; b) „Lament chłopski na pany“ — zbiór suplik chłopskich, razem z głośną „Supliką płaćliwą“, ciekawe materiały do położenia gospodarczo-społecznego chłopów w dawnej Polsce.

Ukończyłem i oddałem dla projektowanej przez „Czytelnika“ Biblioteki Źródeł Historycznych tom pt. „Obrońcy chłopów w literaturze staropolskiej“ (od Jana z Ludziska po Stanisława Staszka); wspólnie z red. Eugeniuszem Bielenim opracowałem „Strajk chłopski w 1937 r.“ (próba zarysu historycznego).

Daleko posunąłem studia przygotowawcze do zamówionych przez Instytut Śląski „Dziejów chłopów polskiego na Śląsku“, które mam nadzieję ukończyć późną jesienią br. Niedługo później gotowa będzie „Historia ruchu ludowego w Małopolsce po rok 1918“.

Obecne warunki wydawnicze nie pozwolą prawdopodobnie jeszcze długo na wydanie kilkutomowej „Historii chłopów polskich“, w której zasadniczym nacisk kładę na rolę chłopstwa wólsztwa, jego życie społeczne, kulturalne i obyczajowe; pod tym względem nikt przeszłości chłopów dostatecznie nie uwypuklił. Dla odпочynku często powracam do pracy nad daleko posuniętymi studiami o dziejach własnej rodziny chłopskiej od XVI w. do zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia, która nie posiada odpowiednika w historiografii polskiej, zebrane zaś materiały rękopiśmienne napisane ciekawą monografią z pogranicza historii i socjologii.

Na jesień br. zamierzam wznowić wydawanie redagowanego przeze mnie kwartalnika „Gronie“, pragnę jednak rozszerzyć jego terytorialny zasięg (przed wojną poświęcony był sprawom Żywiecczyzny) na całą góralszczyznę polską. Zależało to będzie od wielu okoliczności, niepoślednią z nich jest wydawca.

Marian Wileczek: Mimo ciężkiej okupacji, niepełności życia i dalszych losów powstawały prace naukowe. Nigdy może jaśniej niż w tym okresie nie uwidocznił się ten czysty, zupełnie bezinteresowny stosunek do pracy naukowej, pozbawiony wszelkiej myśli o korzyściach materialnych. Jedyna nagroda, a za to bezcenna, było wspomnienie o tragicznej rzeczywistości, ucieczka w krainę ducha oraz uczucie zadowolenia ze spełnionego obowiązku. W okresie wojny napisałem szereg prac z różnych dziedzin okuliastyki: z zakresu budowy nerwu wzrokowego, zmian chorobowych siatkówki, wad rozwojowych oczodołu itp. Prace te nie mogły ukazać się dotychczas w druku, ponieważ nie udało się jeszcze po wojnie uruchomić wydawnictwa czasopisma „Klinika Oczna“, jedynego pisma okulistycznego w Polsce. Obecnie przyjąłem współudział w pisanju zbiorowego podręcznika okuliastyki polskiej; pracuję równocześnie nad ulepszeniem metod leczenia jaglicy i innych chorób oka.

Wojciech Zukrowski: Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że ukazały się już aż dwie moje książki. Tom opowiadań „Z kraju milczenia“ nakładem „Czytelnika“, w rekordowym czasie, bo w miesiąc od podpisania umowy, na dobrym papierze i w wyjątkowo starannej szacie graficznej, za co muszę złożyć specjalne podziękowanie dyr. R. Glücksmanowi. Powieść dla dzieci „Porwanie w Tuturlistanie“ z ilustracjami A. Marczynskiego wydał St. Kamiński.

Siedzę na Śląsku i piszę powieść o grupie bojowej A. K. Akcja dzieje się w Krakowie, maj-sierpień 1945 r. Przygotowuję też tom bardzo przewrotnych opowiadań pt. „Piórkiem flaminga“. Od pracy odrywa mnie raz po raz pasjonujące życie tutejszych osadników, nowe spotkania i przyjaźnie, tak, że nie mogę się powstrzymać od robienia dokumentarnych not, które służą do cyklu reportażowego. Częściowo będą je publikował przed wydaniem książkowym, na które długo będą musieli poczekać.

*) Por. odpowiedź w nr. nr. 68–84 „Odrodzenia“.

Gdzie była praojczyzna Słowian?



TADEUSZ LEHR-SPLAWIŃSKI

Prace Instytutu Zachodniego nr 2. **Tadeusz Lehr-Splawinski**. O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian. Poznań, 1946; str. 237 i 3 nl i 6 map. — Biblioteka Studium Słowiańskiego U. J. Seria B. nr 1. **Tadeusz Lehr-Splawinski**. Prasłowianie. Z cyklu: Początki Słowian. Kraków 1946; str. 19 i 1 nl i 2 mapy

Zagadnienie, skąd pochodzimy i jaka jest nasza praojczyzna, na jakim podłożu etnicznym i geograficznym kultura nasza wyrosła, niepokoiło od dawna uczonych. Prahistoryk, nie znajdując odpowiedzi w źródłach dziejowych, szukał pomocy u językoznawcy, ten domagał się potwierdzenia swych badań nad strukturą gramatyczną i słownictwem języka u archeologa, archeolog u antropologa, antropolog u etnografa, czy lingwisty. Zazwyczaj spory między specjalistami były ostre i namiętne, dla postronnych obserwatorów tym ciekawsze, że uczeni porwali swymi domysłami wkraczali nieraz w obce sobie dziedziny i antropolog wysuwał argumenty językowe, a językoznawca opierał się na prehistorii.

Dotychczasowe badania ujęto w 4 odrębne teorie. Pierwsza odpowiadała się za wschodnio-europejską praojczyznę Słowian, umieszczając naszą kolebkę „gdzieś w Rosji”, ale jeszcze w Europie; druga ustawiła ją daleko na wschodzie, w Azji, gdzieś „na północnych pograniczach wielkiego stepu”; trzecia, zachodnia, wysunięta głównie przez profesorów J. Kostrzewskiego i J. Czekanowskiego, uważała za praojczyznę Słowian przestrzeń od średniej Łaby na zachodzie aż co najmniej po Bug na wschodzie, od Bałtyku koło ujść Odry i Wisły na północy aż po stoki Karpat na południu; wreszcie czwarta, pośrednia, upatrywała centrum praojczyzny Słowian na Polesiu.

Prof. Lehr-Splawinski kilka razy do tego zagadnienia w pracach swoich powracał. Początkowo był zwolennikiem pierwszej teorii, teraz opowiedział się stanowczo za oryginalną polską koncepcją zachodnią, wysuniętą na podstawie danych archeologii przedhistorycznej, wznowioną odkryciami antropologicznymi i historyczno-etnologicznymi, dotychczas popieraną z językoznawców tylko przez prof. Mikołaja Rudnickiego z Poznania.

Książka rektora Lehra-Splawinskiego „O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian” nie należy do lektur łatwych. Po krótkim wstępie, omawiającym dzieje kultury polskiej a zagadnienie pochodzenia i praojczyzny Słowian i streszczającym dotychczasowe poglądy na tę sprawę, podaje ona w siedmiu zwiezłych rozdziałach najdawniejsze wiadomości historyczne o Słowianach; omawia stanowisko języka prasłowiańskiego w indoeuropejskiej rodzinie językowej; ustala siedziby Prasłowian w świetle nazw geograficznych; podaje perspektywy prehistoryczno-etniczne, z kolei perspektywy antropologiczne; dorzuca przyczynki etnograficzne i społeczno-prawne; aby całość, w 45 paragrafów zamkniętą, zakończyć zsumowaniem wyników i wyjaśnieniem. Przypisy, w liczbie 314, na blisko 100 stronach dodane, rozrosły się na odrębne pozycje np. o stosunkach językowych łączących Słowian i Bałtów z innymi ludami indoeuropejskimi; o związkach językowych Słowian z ludami turecko-tatarskimi; to znów o pochodzeniu nazw rzek Odry, Noteci, Dunaju, Niemna itd.

Przy rozpatrywaniu tych zawiłych spraw ma pomóc czytelnikowi wykres ilustrujący stosunki pokrewieństwa języków słowiańskich i sześć map, z których 5 nakłada się na pierwszą, podającą, nazwy geograficzne, uwzględnione w pracy, bo dalsze wskazują, które z tych nazw są indoeuropejskimi, bez bliższego określenia przynależności językowej, które z nich to nazwy praurofińskie (uralskie) i inne nie indoeuropejskie; które są słowiańskie, bałto-słowiańskie, bałtyckie, weneckie, a które irańskie, trackie, germańskie. Ostatnia z map wskazuje zasięgi wchodzących w rachubę kultur prehistorycznych i typów antropologicznych.

Czytelnicy, mniej biegli w tych zagadnieniach wymagających wszechstronnego przygotowania naukowego, najlepiej zrobią, gdy złączą lekturę podstawowego dzieła rektora Lehra-Splawinskiego od przestudiowania naprzód broszury pt. „Prasłowianie”, wydanej w „Bibliotece Studium Słowiańskiego U. J.” w serii B, przeznaczony wyłącznie dla wydawnictw popularno-naukowych, w której Lehr-Splawinski w sposób jasny i przystępny omawia wyniki swej badawczej pracy.

Wyniki są bardzo ciekawe i ważne, dla nas, Polaków, szczególnie interesujące i dlatego zostały np. powitane przez wybitnego antropologa prof. Jana Czekanowskiego na łamach miesięcznika „Nauka i Sztuka” (nr 4/7) jako zdarzenie „bardzo doniosłe w historii słowiańszczyzny”, jako „akt akcesu ostrożnych lingwistów do polskiej syntezy autochtonicznej”.

Nauka niemiecka, ze zrozumiałym uporem, spychała praojczyznę Słowian na Polesie. Specjalne badania terenowe na tym obszarze, przeprowadzone przed wybuchem wojny przez prof. Tadeusza Sulimierskiego wykazały, że ludność słowiańska napłynęła tam z terenów zachodnich. Potwierdziły one spostrzeżenia polskich prehistoryków i antropologów, że praojczyzna Słowian była na terenie dorzecza Odry i Wisły. Teraz rektor Lehr-Splawinski dorzucił do badań swych poprzedników wiele nowych, poważnych argumentów, które umacniają nasze prawa do ziem nad Odrą i Wisłą, jako do terenów, które były praojczyzną Słowian. Okazuje się, że cały proces, z górą dwa tysiące lat trwający, od doby wyodrębnienia się Prasłowian spośród plemion indoeuropejskich na przełomie epoki neolitu i brązu, aż do czasu skryzalizowania się w postaci o na ogół jednolitym obliczu kulturowo-etnicznym, rozgrywał się nie „gdzieś w Azji”, nie „gdzieś w Rosji”, ani nawet nie na Polesiu, ale na obszarze, którego oś geograficzną stanowią główne rzeki północno-środkowej Europy: Wisła i Odra. Dorzecza ich stanowiły jądro praojczyzny słowiańskiej, skąd lud prasłowiański począł się około pierwszego tysiąclecia naszej ery rozprzestrzeniać we wszystkich kierunkach, tracąc stopniowo swoją spójność pierwotną i przegradzając się w coraz luźniej wewnętrznie związany zespół rozwijających się nadal samodzielnie ludów słowiańskich.

Pierwsze twierdzenia, że jesteśmy na naszych ziemiach autochtonami, wyszły przed dwudziestu laty od profesorów lwowskiego i poznańskiego uniwersytetu. Kraków przez dłuższy czas ulegał sugestiom nauki niemieckiej i opowiadał się za wschodnią praojczyzną Słowian. Rektor U. J., Tadeusz Lehr-Splawinski, zagadnienie pochodzenia i praojczyzny Słowian raz jeszcze dokładnie przemyślał właśnie w latach niemieckiej okupacji i doszedł do nowych wyników. Poznański Instytut ogłosił pracę wybitnego krakowskiego uczonego na czele swych wydawnictw jako pozycję niezmiernie ważną i niezwykle aktualną.

Stefan Papée

Próba syntetycznej teorii wychowania

Stefan Kunowski. Proces wychowawczy i jego struktury. Temperament. Indywidualność. Charakter. Osobowość. Zarys teorii. Lublin, Biblioteka Nauk Pedagogicznych, 1946; str. 83 i 12 wykresów.

Do napisania powyższej pracy skłonił autora „chaos poglądów panujący we współczesnej pedagogice”, rozbieżność teorii, które są wskutek tego zupełnie bezpożyteczne dla praktyki wychowawczej, oraz fakt, że w tym stanie rzeczy „spory rozstrzygać muszą czynniki urzędowej polityki, wybierając odpowiedni dla siebie system i gwałtem nieraz wypychając go do szkolnictwa”. Zaniepokojony tymi objawami autor decyduje się wydać swój zarys teorii, choć — jak sam pisze — jest on jeszcze nieskrystalizowany i mglisty. Zastrzega się, że nie będzie to „ani felieton” (nikt chyba tego nie przypuszczał), ani „monograficzny wykład na temat teorii wychowania”, lecz „trudna i niesystematyczna próba wglądu i myślenia(?) na temat procesu wychowawczego”. Mimo tych zastrzeżeń autor daje do zrozumienia, że pragnie położyć fundament pod „syntetyczną teorię wychowania”, której nikomu dotąd nie udało się stworzyć, że praca jego będzie „pierwszym krokiem na drodze matematyzacji pedagogiki” (unaocznienie abstrakcji za pomocą wykresów), a także, przy okazji, dążeniem jego będzie „rzucić dużo światła na zagadnienia pozapedagogiczne np. przez krytykę inteligencji jako funkcji umysłowej wykazać społeczną przegraną inteligencji mieszczańskiej”. Jak widać z powyższych wzmianek, jest to program maksymalny, interesująca więc rzeczą będzie stwierdzić, w jakiej mierze został on zrealizowany.

Ponieważ — według autora — przyczyną największych nieporozumień jest rozbieżność celów i zadań stawianych wychowaniu przez różnych teoretyków, sam zrywa z pojęciem celu wychowania, zastępując go — na wzór przedstawicieli pedagogiki racjonalnej — pojęciem „funkcji wychowania”. Rozpocyna więc od fenomenologicznego opisu zjawiska zwanego „procesem wychowawczym” i rozróżnia w nim cztery fazy rozwijające się na czterech podłożach: biologicznym, psychologicznym, socjologicznym i kulturalnym. Proces wychowawczy wyrasta z podłoża biologicznego i zdradza tendencję powrotu ku niemu, by zamknąć się w granicach własnych potrzeb, lecz po drodze trafia na następne podłoże — psychologiczne, później na socjologiczne itd. i dopiero to kolejne wrastanie w cztery warstwy daje możność pełnego rozwoju jednostki. Przebieg tych zjawisk autor unaocznia w postaci wykresów, które wyznaczają precyzyjne łuki procesu wychowawczego, punkty przecięcia poszczególnych jego faz, momenty zwrotne, w których czynnik biologiczny czy socjologiczny przekształca się w odpowiednią funkcję wychowawczą, wreszcie — w postaci linii prostej — w pozytywną rolę czynnika pedagogicznego.

Już tutaj oddzielenie dojrzewania biologicznego od rozwoju psychologicznego, a postępu społecznego od twórczości kulturalnej wydaje się nam nie do sztucznego, zwłaszcza, że autor sprawę powiązania poszczególnych stadiów procesu pozostawia w zawieszeniu, bowiem w tym celu musiałby „jak pisze” „wprowadzić pewien nowy czynnik procesu wychowawczego, o którym będzie mowa w oddzielnej pracy”; to uproszczenie myślowe umożliwiłoby jednak objęcie całości procesu w formie przejrzystą i dało okazję do interesujących uwag, np. o przedwzrostach i spóźnionych fazach procesu. Sprawa komplikuje się jednak z chwilą gdy w ten sam schemat zostaje wpisana inna kategoria pojęć.

Autor, idąc po linii zdobyczy nowej psychologii, która — w przeciwieństwie do tradycyjnego podziału na „elementy” i „władze psychiczne” — operuje całościami czyli tzw. układami spójnymi (strukturami), ku którym zdążają procesy wewnętrzne jednostki — rozróżnia cztery struktury, wyrastające z czterech wyszczególnionych poprzednio warstw: struktura podłoża biologicznego jest temperament (oparty na uczuciowo-wzruszeniowej sferze przeżywania), psychologicznego — indywidualność (której głównym czynnikiem jest inteligencja), na podłożu socjalnym wyrasta charakter (o dominującym czynnikiem woli), zaś podłoże kulturalne wyłania osobowość (opartą na pierwiastkach nieempirycznych, duchowych). I tutaj wkraczamy w sferę niejasności pojęć, której autor tak bardzo pragnął uniknąć. Przede wszystkim przyznaje każdej strukturze odrębną sferę przeżywania jest powrotem do dawnego podziału na władze psychiczne, które autor wydziela, przeciwstawia sobie, których rozwój (wola) lub hamowanie (inteligencja) zaleca, słowem, przestaje operować całościami i dzieli życie psychiczne na elementy. Elementy te zostają przydzielone poszczególnym strukturom w sposób niemal dowolny. Dlatego np. z podłoża psychologicznego wyrasta tylko inteligencja, a nie wola, dlaczego rozwój indywidualności opiera się głównie na inteligencji? Pominięciem czynników emocjonalnych, dlaczego związek charakteru ze świadomością społeczną — moment tak ważny — został wyprowadzony lekko i powierzchownie z chaosu cytatów różnych pedagogów na temat charakteru „moralnego”, „społecznego” itd.

Przebiegający szybko owe istotne rozróżnienia,

autor zatrzymuje się dłużej nad analizą poszczególnych struktur, a zwłaszcza nad istotą inteligencji i woli oraz nad ich wzajemnym stosunkiem. Te rozważania, niejednokrotnie interesujące, można by po prostu nazwać — psychologizowaniem, zwłaszcza w tych momentach, gdy autor ze spostrzeżeń swych wyprowadza wnioski o psychice... twórców teorii pedagogicznych. „Teoretycy — pisze — z reguły muszają (!) powodować się swoją strukturą psychiczną, nie mogą mieć zrozumienia dla innych wzorów, innych rodzajów myśli i widnokresów światopoglądowych”. Nic więc dziwnego, że poglądy pedagogiczne są tak ekskluzywnie, że „Ellen Key musiała jak gdyby nienawidzieć Montessorii”, Montessorii Foerster, a Foerster Hessena, skoro pierwsza stoł na gruncie struktury temperamentu, druga — indywidualności, trzeci — charakteru, a czwarty — osobowości. Było to uwarunkowane zamknięciem się ich struktur psychicznych w pewnej fazie niedorozwoju... (z wyjątkiem Hessena, który doszedł do czwartego etapu...).

Dziwi się tylko należy, że autor, który tak surowo ocenia jednostkowość i fragmentaryczność dotychczasowych teorii pedagogicznych, gęsto przepłata swą pracę cytatami i chętnie powołuje się na zdanie innych teoretyków. Każdy swój sąd usiłuje natychmiast „zwyfikować” twierdzeniami poważnych pedagogów, znajdując jak gdyby uspokojenie w przekonaniu, że „wypowiedział tylko to, co już bez reszty zostało sformułowane”, a jego rola polega na „uprząstaczeniu całości”. To „uprząstaczenie” nie ma jednak nic wspólnego z popularyzacją zdobyczy wiedzy pedagogicznej, jest to raczej szukanie trudnych, zawiłych ścieżek pomiędzy jasno wytyczonymi przez innych drogami.

Zaletą omawianej pracy jest pewna świeżość w podejściu do zagadnień pedagogicznych. Widać, że autor zetknął się z nimi niedawno, przeżył intensywnie i zapragnął dać temu wyraz. Znać tutaj powierzchowne — bo ograniczające się niemal do podstawowych uniwersyteckich podręczników — odczytanie; stał przemożny wpływ takich autorów, jak Myśliwski, Nawroć, Szuman — cytowani wielokrotnie na każdej niemal stronie. Nic więc dziwnego, że praca — mimo ambitnych zamierzeń, nie ma charakteru samodzielnej teorii naukowej, lecz jest raczej kompilacją, wyprodukowaną naprędce, z zapalem nowicjusza, z beztroską w dziedzinie terminologii, z nonszalancją językową. Podstawowy temat — z pogwałceniem jednostki myślowej i konstrukcji całości, jest nieraz pretekstem do dygresji, które unoszą autora na dalekie peryferie.

Na takie peryferie, a nawet manowce — w stosunku do pierwotnego założenia pracy — prowadzi autora analiza indywidualnego procesu jednostki, który rozwija się jakoby niezależnie od wpływu wychowawczego i zmierza do zamknięcia się w innych strukturach. Są nimi: idealizm, światopogląd i religia. Rola tego procesu, który autor nazywa spontanicznym, jest o wiele większa, gdyż jest on naturalny i konieczny, podczas gdy proces pedagogiczny „jest do pewnego stopnia sztuczny i dodatkowy” (wbrew temu, co zostało powyżej powiedziane). Proces indywidualny polega na samowychoowaniu, z procesu wychowawczego zaś społeczeństwo korzysta więcej niż jednostka. Nic więc dziwnego, że go inicjuje i to „pod przymusem, który mimo deklaracji teoretyków o wolności jest podstawowym czynnikiem wychowania” (a więc powrót do wychowania negatywnego w duchu J. J. Rousseau?).

Mimo na pozór ściśle teoretycznego charakteru tych rozważań, wynika z nich konkretne normy: indywidualne życie jednostki jest dla autora najwyższą wartością, jej wewnętrzny rozwój począwszy od doznań zmysłowych, a skończywszy na metafizycznych, nie powinien być niczym hamowany, zwłaszcza rygorami społecznymi. Nic więc dziwnego, że autor, referując w zakończeniu swej pracy dwa „najmłodniejsze obecnie kierunki pedagogiczne” — personalizm i kulturyzm, wypowiada się po stronie pierwszego, który umieszcza centrum swych zainteresowań w samym procesie wychowawczym, nie narzucając wychowaniu celów pozapedagogicznych. A wiec kult osobowości i to nie osobowości społecznej, lecz odgródzonej murem od wszystkich, co mogłoby stanowić zamach na jej autonomię. Podobnie autonomiczną wartością duchową jest kultura, której źródła „leżą w rozwoju uzdolnień jednostki, kierowanych przez samowychowanie”. Szkoda, że autor, cytując tylorotnie nazwisko prof. Mystakowskiego, nie powołał się na te tak istotne jego definicje: „Kultura jest wyrazem reakcji pochodzących z socjalnych motywów postępowania”, lub „Wychowanie jest narzędziem, za pomocą którego społeczeństwo zachowuje swą kulturę i przygotowuje członków do brania w niej udziału i pomnażania jej”, lub „Rozwój osobowości wymaga poznania środowiska społecznego”. Te cytaty nie były jednak dla autora wygodne, gdyż zbyt ściśle wiązały osobowość z podłożem społecznym, które autor omówił tylko jako jedną z faz procesu wychowawczego, a następnymi rozważaniami niemal — unieważnił. Głoszenie tego rodzaju poglądów w epocę coraz bardziej postępującego uspołecznienia życia jest objawem co najmniej — zastanawiającym.

Krystyna Kuliczowska

WSPOMNIENIE o prof. St. Kalinowskim

Niedawno nadeszła wiadomość o śmierci prof. Stanisława Kalinowskiego, wybitnego uczonego i zasłużonego działacza oświatowego, nasunęła mi kilka wspomnień związanych z działalnością zmarłego.

W ciężkich latach po roku 1930, kiedy reakcja sanacyjna święciła tryumfy w dziedzinie oświaty, a najsilniejsza organizacja nauczycielstwa ZNP znalazła się pod kierownictwem zwolenników systemu sanacyjnego, grono działaczy oświatowych i nauczycieli z prof. St. Kalinowskim, zmarłą posłanką Ireną Kosmowską, Jadwigą Dziubińską, Władysławą Weychert-Szymanowską, Adamem Próchnikiem, Teofilem Wojskim na czele postanowiło założyć Towarzystwo Oświaty Demokratycznej „Nowe Tory”.

W okresie faszystacji szkolnictwa polskiego, za rządów sławnego ministra J. Jędrzejewicza, podjęliśmy trudną walkę. W zbiorowym wydawnictwie „W obronie szkoły demokratycznej” prof. Kalinowski zamieścił piękny artykuł, nawiązujący do demokratycznych tradycji szkolnictwa polskiego i zasłużonej działalności „Nowych Torów” w okresie 1905—1918. W innym artykule tego wydawnictwa dał wnikliwą analizę i sumienne zestawienie wydatków budżetowych na oświatę w okresie przedmajowym i rządów sanacyjnych. W ciągu kilku kadencji parlamentarnych był prof. St. Kalinowski z ramienia „Wyzwolenia” posłem na sejm i senatorem oraz przewodniczącym komisji oświatowej senatu. Utalentowany pedagog, wyjątkowy znawca zagadnień oświatowych, położył wiele zasług w walce o szkolnictwo, w walce przeciwko klerykalizmowi wdzierającemu się do szkół, w walce o naukowe i demokratyczne podstawy wychowania i kształcenia młodzieży.

Jako długoletni i zasłużony przewodniczący Towarzystwa Oświaty Demokratycznej „Nowe Tory” prof. St. Kalinowski wykazywał niezwykłą energię, która często nam, przedstawicielom młodszego pokolenia, służyła za wzór i przykład. Czy to w organizacji odczytów publicznych, czy też w przygotowaniu naszych wydawnictw nieperiodycznych, prof. Kalinowski był zawsze czynny i umiał pokonywać te liczne trudności, które na każdym kroku piętrzyły się przed nami. Należąc do starszego pokolenia wyrosłego w okresie walk o niepodległość Polski umiał jak mało kto w przedwzrostniowej Polsce, widzieć i rozumieć przemiany zachodzące w Polsce i w świecie.

Będąc w ciągu kilku lat sekretarzem Zarządu Towarzystwa Oświaty Demokratycznej „Nowe Tory”, stykałem się często z prof. St. Kalinowskim. Pamiętam szczególnie zainteresowanie prof. Kalinowskiego sprawami budownictwa w ZSRR, a przede wszystkim sprawami rozwoju kulturalnego i oświaty w Związku Radzieckim. Pamiętam też, jak kiedyś przy przeglądaniu mojego artykułu o szkolnictwie ZSRR (wydrukowanego w „Przeglądzie Wschodnim”) wyraził swój pogląd pozytywny o zdobyczach szkolnictwa radzieckiego.

W r. 1937, kiedy wróciłem z Paryża, gdzie dowiedziałem się o przejeździe powrotnym przez Polskę delegacji Związku Nauczycielstwa ZSRR, zaproponowałem wysłanie zaproszenia do przewodniczącego delegacji nauczycieli radzieckich, aby zatrzymał się w Warszawie i wygłosił odczyt o szkolnictwie w ZSRR; prof. Kalinowski chętnie zgodził się na to. Był on zawsze wierny swym demokratycznym przekonaniom, ze wstrętem i odrazą przypatrywał się różnym przejawom reżymu sanacyjno-ozonego, miał odwagę cywilną, właściwą może niewielu tylko naukowcom polskim, nazywać rzeczy po imieniu i występować publicznie z oskarżeniem.

Wybitny uczony i autor wielu prac naukowych, prof. St. Kalinowski zawsze umiał wczuwać się w rytm wydarzeń międzynarodowych i przeobrażeń społecznych, nawet w najcięższych latach przedwojennych, kiedy duszno robiło się w Polsce, nie tracił wiary w masy społeczne, wierzył w postępek i lepsze jutro ludzkości.

Jego dorobek naukowy wzbogacił naukę polską i międzynarodową. Jego dorobek na polu oświaty i szkolnictwa demokratycznego będzie nieodłączną częścią postępowego ruchu oświatowego w Polsce.

Michał Szulkin

APEL

Posiadaczów moich książek dla dzieci oraz książek: „Szóstka przykazanie” i „Wesoła Zabawka czyli bajki sanacyjne” (wydane pod pseudonimem Józef Mayor) oraz osoby posiadające moje manuskrypty lub maszynopisy, proszę o przesłanie mi ich lub o powiadomienie mnie, do kogo mam się zwrócić po odbiór.

Wszystkie koszty chętnie pokryję.

Marian Józefowicz
Kielce, ul. Kościuszki 12

PRZEGLĄD PRASY

Przegląd wydawnictw można by zestawiać według ich tematycznego zbliżenia, wedle rozmieszczenia geograficznego, albo wreszcie czysto chronologicznie. Poprobujmy każdego z tych sposobów.

W okresie głębokich przemian organizacyjnych i ostrej kampanii ideologicznej zasługują na szczególną uwagę czasopisma teatrologiczne. Mamy w tej chwili w Polsce dwa miesięczniki poświęcone zagadnieniom teatru. O ile spełniają one swe zadania?

Państwowy Instytut Wydawniczy podjął wydawanie miesięcznika „Teatr” pod red. **I. N. Millera**. W pierwszym numerze **M. Rusinek** daje na wstępie zwięzły przegląd potrzeb i zadań teatralnych. Trudno odmówić słusznosci jego ocenie życia teatralnego, łatwo przyklasnąć jego projektom i mirażom. Chodzi tylko o ich urzeczywistnienie. **M. Rusinek** sam podkreśla zależność wykonania programu od możliwości budżetowych. A z tymi jeszcze nie tego. Więc mimo woli jesteśmy skłonni piękne plany departamentu teatru dzielić przez dwa (i to: żeśmy optymiści). Ale planowanie teatralne w skali państwowej jest słusne i konieczne, a może nawet istotnie powinno być postulatem naczelnym, jak o tym mówił na inauguracyjnym zebraniu Rady Teatralnej wicemin. **Kruczkowski**.

Dobrym pomysłem „Teatru” jest ankieta „O nowy repertuar teatrów polskich”. **Iwaszkiewicz** zabiera w niej głos roztropnie i na temat, **J. N. Miller** zbacza w niej na manowce spraw może i ważnych, lecz ubocznych, wznawia swoje spory z **Fredrą** i wzywają się w patetycznych ogólnikach o tym, jaki winien być polski teatr współczesny. Niebezpieczny jest też postulat doskonałości reżyserkiej wobec repertuaru klasycznego, niebezpieczny w naszych warunkach, choć skądinąd pociągający no i ostatecznie nieraz już stosowany. **Wanda Padwa** ze słynnej komisji repertuarowej jest miarodajna, o ile chodzi o ocenę dwustu sztuk polskich, które w komisji przeszły przez jej ręce: miarodajna faktycznie czy tylko formalnie?

„Teatr” ma ambicje stworzenia wszechstronnego obrazu. Artykułem **Zdzisława Kwiecińskiego** porusza zatem zagadnienie teatru ludowego, a piórem **Bohdana Korzeniowskiego**, **Józefa Slotwińskiego** i **Lambdy** daje przyczynki do dziejów teatralnego wczoraj. Zaczynają fragment dramatu **St. R. Dobrowolskiego** „Spartakus” ma być, jak się zdaje, polskim odpowiednikiem jesieninowskiego „Pugaczowa”. Zamyka zeszyt przegląd teatralny, ogólnopolski (trafna „Kronika Krakowska” **K. Grzybowski**) i zagraniczny (interesujące informacje z ZSRR, Anglii, Czechosłowacji, Szwecji i Austrii). W całości wydawnictwo o dużych ambicjach, częściowo tylko zrealizowanych. Ale wydawnictwo bezsprzecznie pożyteczne, dla każdego człowieka teatru wartościowe (nie tylko w myśl zasady: na bezrybiu...)

Odnosi się ta uwaga w nie mniejszym stopniu do krakowskich „Listów z Teatru”, wyłożonych jako wydawnictwo Komisji Porozumiewawczej Teatrów Krakowskich (niezależnie od wyjątków, nie wiadomo czemu, redaktor: **Wojciech Natanson**) z poprzednich efemeryd wydawniczych Starego Teatru. „Listy” są bardziej osobiste i kameralne niż sztywny, oficjalny „Teatr”. Zdobyły się na poważny głos milczka — **Szaniawskiego**, jednego z tak nielicznych w Polsce prawdziwych ludzi teatru, którego zawsze warto posłuchać. **L. H. Morstin** pisze o **Hamlecie**, temat **Karola Adwentowicza** (krótko: „Teatr”) zbyt jest rozległy, by słowa mogły wyrość ponad frazesy. Obowiązkowy artykuł o teatrze ludowym dała **Maria Rokoszowa**. Bardzo pożyteczna jest ankieta: „Jak mówić wiersze” (o ile się nie odwołuje do arystystycznej, jak to uczynił niestety **Flukowski**). Dobrze zredagowana kronika (do niej zaliczyć też należy interesującą informację **W. Szewczyka** o „Antygonie” **Anouilha**, napisanej w 1942 r.) zamyka pismo, które, bardziej zindywidualizowane niż „Teatr”, ma prawo do istnienia obok niego, jak teatr poświęcony twórczości współczesnej obok teatru wielkiego repertuaru.

Najbardziej jakby „odległym”, najbardziej prowincjonalnym ośrodkiem kulturalnym jest dzisiaj **Lubelszczyzna**. Najmniej zarazem samowystarczalnym. **Lubelski „Zdrój”** korzysta też obficie z „zasilku” literatów krakowskich, nie zawsze z pożytkiem dla pisma. Najlepsze pozycje są w nim zresztą niekrakowskie (prace **J. Kleinera** o **Sienkiewiczu**, **S. Kawyna** o **Kościuszcze**). W ostatnim (13) numerze „Zdroju” **J. N. Kłosowski** dołącza swój głos do dyskusji teatralnej: obraz teatrów lubelskich w jego ujęciu posiada te same cechy charakterystyczne, które znamionują teatr w Krakowie czy w Warszawie. W poprzednich numerach „Zdroju” — przykłady inwazji **Krakowa** (**Flukowski**, **Gorecki**, **Leśniodorski**, **Malewska**, **Natanson**, **Wiktor**), wśród nich zbrojny wypad **Witolda Zechentera** przeciw czasopiśmiom literackim, które rzekomo „stały się nie przedstawicielami polskiej twórczości współczesnej, lecz przedstawicielami pościąganych kapliczek”. Słowa **Zechentera** — mocne („sprawa społeczna... wybitnie szkodliwa kapliczkomania... szkodzi się interesom... niemożliwa się społeczeństwu... maszynieria

wyzwisk, kalumnii i bojkotu... oszczercza kampania na wszystkich terenach... bojkot na sto dwa... fałszuje się rzeczywistość”) — ale ich ciężar gatunkowy żaden. Bo zarzuty kapliczkomanii — stawiane już za króla **Cwiczka** — mają to do siebie, że dyktuje je najczęściej moment osobisty, zazwyczaj wynikający z urażonej na świat i ludzi niemocy twórczej. Czuje to sam **Zechenter**, zastrzegając się, że nie proponuje „obniżenia poziomu oceny” ani „obniżenia się poziomu literackiego”. Niech więc powie otwarcie, o co mu idzie; póki tego nie uczyni, nawet życzliwi dlań skrzywią się z niesmakiem.

Chelmska „**Kamena**” wydała podwójny numer bieżący. Jestem gorącym wielbicielem kulturalnych zasług **K. A. Jaworskiego**, mam jak zb osobiste sentymenty do „**Kameny**”; z przykrością stwierdzam zatem pewien zastój w osiągnięciach kulturalnych tego miesięcznika, który we współczesnej Polsce stanowi skądinąd zjawisko wyjątkowe. „**Kamena**” już przed wojną wyróżniała się trzema właściwościami, z których dwie wyznaczały jej w czasopiśmiennictwie kulturalnym odrębne, choć w nieco dalszych rzędach, miejsce: była wylegarnią debiutantów, była przybytkiem twórczości słowiańskiej i była niestety przytułkiem paru spóźnionych romantyków. Jako pepiniera najmłodszych talentów i alembik, przez który przechodził co trzeci debiutant w Polsce — pełni „**Kamena**” w dalszym ciągu swą rolę. W ostatnich zeszytach natrafiamy na sporo utworów, podpisanych nieznanymi nazwiskami. W paru z nich można się życzliwie dopatrzeć interesujących zapowiedzi; w większości są bardzo słabe (pierwszy minus).

Drugą dodatnią cechą „**Kameny**” były arkuśskie przekłady — „spolszczeń” jak powiada redaktor „**Kameny**” — z literatur słowiańskich. W okresie, gdy nawet na Wierzbowej wyrastały trujące owoce antysłowiańskie — postawa „**Kameny**” była tym bardziej heroiczna, ile że współczesna poezja słowiańska (poza rosyjską i polską) jest raczej wątpliwa. Obecnie wytrwałość, upór i konsekwencja „**Kameny**” znalazły uznanie i rezonans. Nie byłoby więc słuszne potępienie „**Kameny**” z powodu jej słowiańskiego entuzjazmu. Ostatecznie, nawet o liryce serbskiej lepiej się czegoś dowiedzieć niż nic.

Te względy informacyjne odpadają oczywiście przy przekładach z liryk zachodnich lub rosyjskich. Tutaj samo spolszczenie wystarczyć nie może. A najczęściej na spolszczeniu się kończy (drugi minus).

Wreszcie jako schronieństwo metniactwa usiłuje „**Kamena**” chwałebnie przewietrzyć okna, ale stare grzechy raz po raz przeszkadzają (trzeci minus). A więc wady „**Kameny**” dotyczą samej istoty pisma. Nie przestaje jednak powtarzać, że „**Kamena**” ma do spełnienia wielką rolę społeczno-kulturalną, że ją dobrze spełnia i że pewne obniżenie jej poziomu jest chyba chwilowe.

A teraz na trzecią modłę:

Dwumiesięcznik wojskowy „**Bellona**”, wydawany przez Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy (redaktor mjr. **Apoloniusz Zawilski**) to bogato w mapy, szkice i ilustracje wyposażone wydawnictwo, którego każdy zeszyt ma rozmiary sporej książki. Dla czytelnika cywilnego jest ważne, że artykuły drukowane w „**Bellonie**” tematycznie nieraz wykraczają poza zasięg spraw wojskowych albo ujmują je z tak zasadniczego punktu widzenia, iż stają się interesujące również dla laików. Wystarczy podać tytuły paru rozpraw, ogłaszanych w dwu ostatnich zeszytach „**Bellony**”: „Wpływ czynnika politycznego na konstrukcję polskiego planu wojennego w roku 1939” (autor: ppłk **J. Kirchmayer**), „Krótki rzut oka na przeobrażenia wojny” (ppłk **T. Zakrzewski**), i in. Co do słuszności ogłaszania właśnie w „**Bellonie**” takich rozpraw jak „Polityka germanizacyjna Prus od Fryderyka II do Hitlera” (dr. **Juliusz Willaume**), można by się nawet spierać. Z największym zainteresowaniem czytać się musi ogłoszone obok siebie: gen. dyw. **Józefa Sankowskiego** „Działania II armii nad rzeką Nysą” i gen. bryg. **Bronisława Prugar-Ketlinga** „Z działań II Karpackiej Dywizji Piechoty w 1939 r.”: dwa skrzydła tego samego wojennego czynu Polski, ta sama dzielność, ale jakże tragiczna i bezowocna w obliczu klęski polskiej polityki, jakże pokrzepiająca i zwycięska, gdy mądrość stanu wsparła męstwo żołnierza. Rewelacyjny jest artykuł **Kazimierza Sławińskiego** „Kilka uwag o lotnictwie polskim w 1939 r. i założenia na przyszłość”: dopiero w tym suchym, kartograficznie objaśnionym studium rozpoznać się daje zasadnicza różnica stopnia bezpieczeństwa Polski: w 1939 r. bezbronni, w 1946 żyjemy w lepszych granicach niż wiele państw europejskich.

Pomału zaczynają się pojawiać pełne bilanse strat kultury polskiej za sześćdziesiąte wojenne, dla których lista **Bronisława Olszewicza** w „Tygodniku Powszechnym” — cząstkowa, kapryśna w wyborze i pełna błędów — może być co najwyżej punktem wyjścia. Takie właściwe bilanse, połączone z nekrologami wybitnych zmarłych, przynoszą kolejno wskrzeszane specjalne czasopisma nau-

kowe, których pierwsze powojenne zeszyty wypełnione bywają — i słusznie — w dużej mierze spojrzeniem wstecz, na tragiczny okres okupacji. Całkowicie niemal tej tematyce poświęcony jest tom XIX (za lata 1939—45) „**Przeglądu Geograficznego**” (Warszawa, organ Polskiego Towarzystwa Geograficznego), którego redakcję, po zamordowaniu przez Niemców prof. **S. Lencewicza**, objęli **E. Romer** i **J. Loth**. Lista zmarłych członków **P. T. G.** zajmuje — 4 strony druku. Osobne wspomnienia pośmiertne, uzupełnione wykazami bibliograficznymi, posiadają trwałą wartość; dokumentem są również zwięzłe charakterystyki losów pracowni geograficznych w okresie okupacji i ich odbudowywanie bezpośrednio po ukończeniu działań wojennych.

W podobnym typie, choć skromniejsze wy-

O Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie

Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Krakowie zakończyła pierwszy rok pracy, przedstawiając jej rezultaty w dwu publicznych popisach. Popisy te były interesujące przede wszystkim z dwóch względów: pokazały mżliwie wszechstronnie materiał uczniowski (klasy kompozycji, dyrygentury, fortepianu, skrzypiec, organów i zespołów kameralnych) i nie ograniczyły się do samych tylko studentów najbardziej zaawansowanych, pokazując uczniów ze wszystkich klas i stopni począwszy od pierwszego roku przygotowawczego (wprowadzonego ze względu na wyjątkowe warunki młodzieży po kilkoletnim okresie okupacji i przerwy w studiach) aż do absolwentów włącznie. Pozwoliło to nam istotnie wglądać w system pracy i ocenić świetnie jej wyniki.

Największym osiągnięciem pierwszego wieczoru, który odbył się w sali kinoteatru „**Swit**” z udziałem Państwowej Filharmonii, był pokaz kompozycji studenta z klasy prof. **Palestra** — **Stanisława Skrowaczewskiego**, który, akompaniując swym kolegom solistom i stając przy pulpicie dyrygentkim przy wykonywaniu własnych utworów, zdawał równocześnie dyplom dyrygentury. Z utworów tych wymienimy, jako dojrzałe już kompozycje, Preludium symfoniczne i fugę op. 20, wykazujące nie tylko bardzo dobre opanowanie rzemiosła, zwłaszcza faktury polifonicznej, ale i tworzącą inwencję o wyraźnie indywidualnym zabarwieniu, która wróży młodym kompozytorowi piękną przyszłość. Gdy porównujemy z nimi dawniejsze kompozycje **Skrowaczewskiego**, uderza nas nie tylko olbrzymi postęp techniczny, ale przede wszystkim całkowicie nowy sposób ujmowania materiału dźwiękowego.

Dawniejsze utwory (Pieśni op. 19 do słów **Puszkina** i **St. Brzozowskiego** na głos orkiestra, wykonane bardzo muzykalnie przez **J. Krysińską**, obdarzoną pięknym i nośnym głosem), choć wykazują niewątpliwie też iskry talentu (szeroka linia melodii, dobre traktowanie głosu w stosunku do orkiestry), mają jednak jeszcze charakter wyraźnie eklektyczny: młody kompozytor ulega tam wpływom **wagnerowskiego „Trystana”** i **Ryszarda Straussa**, wpływom, które uwiłdły już wielu, zwłaszcza w okresie dojrzewania twórczego talentu. Teraz **Skrowaczewski** potrafi już utrzymać na wodzy emocje, którą wydłubował w muzyce, jest opanowany, bardziej obiektywny, bardziej dbały o formę i konstrukcję jako środki wypowiedzi artystycznej. Czekamy z dużą ciekawością na dalsze próby tego niewątpliwego talentu, który został tak trafnie skierowany na właściwą drogę. Jako dyrygent miał **Skrowaczewski** nielatwe zadanie; z zadania tego wywiązał się bez zarzutu.

Dobre zadatki na kapelmistrza wykazał też drugi absolwent Wydziału dyrygentury, **Marian Lewandowski**.

Z klas instrumentalnych najlepiej zaprezentowały się dwie pianistki, **Barbara Muszyńska** z klasy prof. **Drzewieckiego** i **Regina Smendzińska** z klasy prof. **Sztompki**. Pierwsza dała dojrzałe stylizacyjne ujęcie pierwszej części Koncertu c-moll **Beethovena**, druga zagrała „**Appassionatę**” **Beethovena** oraz Preludium i fugę c-moll **Bacha**. Obie studentki, stojące tuż przed dyplomem (IV rok studiów) wykazały nerw pianistyczny i znaczną dojrzałość muzyczną. Niewątpliwie talent wykazał też obaj produkujący się skrzypkowie z klasy prof. **Umińskiego** (stud. **K. Teutsch** z I roku Szkoły Wyższej).

Święto Muzyki Polskiej w Krakowie

Cykl koncertów urządzonych pod powyższym tytułem przez Państwową Filharmonię w Krakowie podzielić można na dwie części: część poświęconą nowoczesnym polskim kompozycjom symfonicznym i część popularną, poświęconą polskiej pieśni ludowej. Na pierwszą złożyły się koncerty chórów szkolnych, amatorskich i regionalnych, na drugą trzy koncerty symfoniczne z udziałem **W. Bierdiajewa**, **Zdz. Górzynskiego** i **Z. Łatoszewskiego** (dyrygentów i **Fr. Bedlewicza**, **W. Niemczyka**, **Ady Sarl**, **H. Sztompki** i **T. Wronskiego** jako solistów).

Jeżeli idzie o program, część popularna była niewątpliwie lepiej pomyślana i zrealizowana niż koncerty symfoniczne. Pomysł pokazania na jednym wieczorze kilku chórów szkolnych (chór gimnazjum im. **Kolchanowskiego**, gimnazjum **S. S. Urszulanek** i **Licium Administracyjno-Handlowe** w Krakowie oraz krakowski żeński chór między-szkolny), amatorskich (chór „**Lutnia Robotnicza**”, chór **ZZK „Hejnał”**, **ZNK „Akord”** i krakowski Towarzystwa Śpiewaczego „**Echo**”) oraz regionalnych (chóry góralskie) był bardzo dobry nie tylko ze względu na możliwość zestawienia osiągnięć i porównania ich między sobą, ale też i ze względów pedagogicznych: zjazdy takie ożywiają zainteresowanie i pobudzają do zdrowego wśwólzawodnictwa, ułatwiają swobodną wymianę zdań i doświadczeń.

Poziom wykonania był na ogół dość dobry, niekiedy osiągnięcia stosunkowo wysokie (chór szkoły powszechnej z Nowego Targu, „**Echa**” krakowskiego lub bardzo dobre pokazy kapeli góralskiej z **Cyrla** i **Czarnego Dunajca**).

Najwięcej wątpliwości nasuwa jak zawsze sam dobór programu: obok rodzimych utworów ludowych znajdujemy pieśni ludowe w opracowaniu niestylowym, pozbawionym prostoty, nagłaśniającym melodię ludową do harmoniki XIX wieku, absolutnie im obcej; nawet niektóre pokazy oryginalne, np. góralskie, nie uniknęły tych błędów, choćby tylko przez samą manierę wykonania zapożyczoną od muzyki „pseudoartystycznej”. Dobrą dyscypliną i muzycznym opanowaniem wyróżniły się: chór „**Echa**” pod dyr. **A. Kopycińskiego**, chór szkoły powszechnej w Nowym Targu oraz kapela góralska, które dały jeszcze raz dowód muzykalności ludu podhalańskiego.

W drugim wieczorze usłyszeliśmy ciekawie opracowane pieśni ludowe: **Szeligowskiego**, **Panufnika** 5 pieśni ludowych na zespół sopranów z towarzyszeniem instrumentów dętych, kompozycji znanej już z festiwalu wrześniowego oraz ualentowanej młodej kompozytorki i dyrygentki **Ireny Pfeiffer**, która wspólnie ze **St. Skrowaczewskim** stanęła przy pulpicie kapelmistrzowskim.

Trzy koncerty symfoniczne dały wiele kompozycji polskich, które w sumie — poza **Kurpińskim** i **Moniuszką** — można by określić jako muzykę „wczorajszą”: prawie wszyscy kompozytorzy należą do generacji przedwojennej, albo nawet do „**Młodej Polski**”, współczesnych pokazano nam na ogół w ich utworach dawniejszych, przeważnie znanych i stosunkowo często wykonywanych (**Karłowicza** „**Oświecimowie**”, **Różyckiego** „**Stańczyk**”, **Paderewskiego** „**Fantazja polska**”). Z utworów no-

wałami, jest popularno-naukowe czasopismo astronomiczne „**Urania**” (Kraków, organ Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Astronomii, red. **Jan Gadamski**). Astronomia — wiadomo — pasjonuje nie tylko specjalistów, lecz i wielu laików. Dr. **A. Wilk**, którego nekrolog znajdujemy w „**Uranii**” (zmarł w parę dni po zwolnieniu z obozu w **Oranienburgu**), był, jako „łowca komet”, jednym z najpopularniejszych uczonych w Polsce. Znałem tego cichego, nieśmiałego pracownika, przez długie lata wyczerpującego się nauczaniem w gimnazjum... Do odkrywania komet trzeba (prócz szczęścia) wyjątkowej pilności i pracowitości: astronomia od strony pracowni (choćby skromnych) inaczej wygląda niż w nieco pustych, filozoficznych rojeniach o wszechświecie.

jaszcz

i prof. **Tawroszewicza** (stud. **A. Bieniasz** z I roku przygotowawczego. Orkiestrę prowadził **St. Tawroszewicz**), których indywidualność jako artystów skrytalizuje się dopiero w ciągu dalszych studiów.

Drugą wieczór przedstawił nam uczniów klasy organowej prof. **Chwedczuka-Łukasńskiego** i zespół wokalny z klasy prof. **Bierdiajewa**. Była to pewnego rodzaju nowość w naszej pedagogice muzycznej; wiadomo, jak bardzo zażlebdany jest ten dział studiów. Jest więc rzeczą bardzo ważną, że Wyższa Szkoła Muzyczna w Krakowie postawiła sobie za jeden z głównych celów rozbudowę tego działu studiów, który już w pierwszym roku ma duży zastęp studentów. W popisie wzięło udział trzech, wszyscy ledwie rozpoczynający naukę (włącznie I i II rok przygotowawczy: **J. Kulma**, **F. Widełka** i **St. Kisza**), ale dobrze się zapowiadający. Świadczy o tym już choćby sam program, w którym lwią część reprezentował **J. S. Bach**, największy mistrz polifonii wszystkich czasów, oraz kompozycje **Buxtehudego**, **Brahmsa** i **Cezara Francka**. Chlubnie też o aspiracjach zespołu kameralnego pod batutą studenta **A. Dobrowolskiego** świadczy program przezeń wybrany (utwory **Mozarta** i **Górczyckiego**). Zespół nie jest jeszcze dostatecznie zespiewany, wykazuje pewne niedociągnięcia we frazowaniu, z czasem jednak przy dalszej pracy rozbudować się może bardzo pięknie.

Jeżeli zważy się niestylachy ciężkie warunki, w jakich pracowali w bieżącym roku tak nasi studenci jak i zespół pedagogiczny, musi się określić poziom uczelni jako bardzo wysoki. Najbardziej istotny jest fakt, że — jak wynika z pokazów — do Szkoły Wyższej przyjmowani są tylko tacy studenci, których talent gwarantuje, że mogą się stać w przyszłości wysoko kwalifikowanymi artystami, godnie reprezentującymi polską sztukę i twórczość na estradzie, oraz że kształcą się uczniowie nie tylko z myślą o wirtuozostwie, ale rozwijają się w nich równomiernie wszechstronne uzdolnienia muzyczne.

Zżyć sobie tylko należy, by krakowska Wyższa Szkoła Muzyczna miała w jak najbliższym czasie warunki możliwie sprzyjające tej pracy, której się podjęła. Chodzi o rzeczy naprawdę proste: gmach, przystosowany do potrzeb takiej uczelni, o który walczy się już przeszło od roku, pomoce naukowe, przede wszystkim organy (instrument, którym szkoła rozporządza, nie odpowiada nawet potrzebom szkolnym), bardziej wydajna pomoc dla młodzieży w stypendiach, bursy i wreszcie w nie mniejszym stopniu — lepsze uposażenie samych sił nauczycielskich. Każdy z pedagogów jest tak przeczczający pracą zarobkową, którą uzupełnia swe nie wystarczające pobory, że nie może poświęcić całego czasu na pracę pedagogiczną i artystyczną (lub naukową), tak, jakby to było potrzebne dla normalnego rozwoju uczelni. Wyższa Szkoła Muzyczna w Krakowie zgromadziła w swym gronie najwybitniejszych pedagogów z całej Polski z rektorem **Zb. Drzewieckim** na czele, co nie powtórzy się na pewno po raz drugi w dziejach Krakowa — przyciąga też dzięki temu najbardziej ualentowaną młodzież, najpoważniej myślącą, słowem najbardziej wartościową; podwaliny pod podstawę o poziomie naprawdę europejskim zostały już położone. Od warunków zewnętrznych zależy teraz dalsza praca uczelni.

Stefania Łobaczewska.

wych („nowych” przynajmniej dla publiczności krakowskiej) wymienić należy koncerty skrzypcowe **Perkowskiego** i **Maklakiewicza**, oraz **Symfonie Czesława Marka**, rzadko grywaną w Polsce (napisaną zresztą także przed kilkunastu laty). Jest to poważna, dobra muzyka w stylu, można by rzec, klasycyzującym, nie wolnym od wpływów, ale zwięzła i jasna w konstrukcji, wykazująca doskonałe opanowanie rzemiosła. Koncert skrzypcowy **Perkowskiego** — to jedna chyba z najlepszych pozycji w dorobku twórczym tego kompozytora; główna jego zaleta jest subtelna kolorystyka dźwiękowa, ładny rysunek melodycznej arabskiej (część pierwsza), i skupiona, pełna prostoty i bezpośredniości część druga. Część trzecia zyskałaby niewątpliwie, gdyby zagrano ją w szybszym tempie.

Solista tego koncertu, **Tadeusz Wronski**, przedstawił się jako pierwszorzędnny skrzypek i również dobry muzyk, który potrafi wydobyć z utworu wszystkie efekty, nie przekraczając jednak nigdy tej granicy, poza którą przestają być one wykładnikiem samej muzyki. Drugim solistą-skrzypkiem był **Wacław Niemczyk**; walory techniczne i dźwiękowe jego gry podnosił już niejednokrotnie. Wykonał on z towarzyszeniem orkiestry **Koncert Jana Maklakiewicza**, utwór dość nierówny, gdyż momenty świadczące o dużym talencie występują obok pomysłów raczej banalnych.

Nie wiadomo, co myśleć o „Wokalizach” **Maklakiewicza**; przypuszczać chyba należy, że sam kompozytor nie traktuje tego utworu na serio, ale w takim razie czy warto było umieszczać go w programie koncertu festiwalowego? („Wokalizy” wykonała znakomita śpiewaczka **Ada Sarl**). Muzykę **Romana Palestra** reprezentowały trzy wyjątki z baletu „**Pieśń o Ziemi**”, które choć mocne w wyrażeniu, ciekawe jeśli idzie o wyzyskanie folkloru i — jak zawsze u niego — świetnie zrobione, nie dają jednak wyobrażenia o całości samej kompozycji.

Ta sama uwaga — tylko w znaczeniu większym stopniu — da się zastosować i do „**Harnasi**” **Szymanowskiego**, dyrygowanych przez **Z. Łatoszewskiego**. Genialny ten utwór wykonano tylko w wyjątkach (co powinno było być wyraźnie zaznaczone w programie), bez chórów, a więc w formie niepełnej; przy tym głos **Bedlewicza** i jego sposób ujmowania „partii” stanowczo nie nadaje się do wykonania solowego. Z tego powodu „**Harnasi**” zupełnie zawiodły, przeszły bez wrażenia, przedziwne piękno tej muzyki pozostało ukryte gdzieś w znaczkach partytury, nie dochodząc do słuchacza. Jaka szkoda! Wykonanie „**Harnasi**”, którego świadkami byliśmy na festiwalu czerwcowym, należy do eksperymentów, jakich powtarzać nie wolno. Mimo włożonych w takie przedsięwzięcie wysiłków, mimo pozytywnej inicjatywy był to błąd nie do darowania.

Na zakończenie trzeba jeszcze zanotować olbrzymi sukces **Sztompki**, którego talent pianistyczny zabłysnął w świetnym wykonaniu „**Fantazji polskiej**” **Paderewskiego** oraz naszych kapelmistrzów, **Bierdiajewa**, **Górzynskiego** i **Łatoszewskiego**; szczególnie **Górzynskiemu** należą się słowa uznania za znakomite wykonanie **Symfonii Marka**.

Stefania Łobaczewska.

Z PRASY ANGIELSKIEJ

Ścisłe rzecz biorąc, chodzi tu tylko o dwa numery (drugi i trzeci) miesięcznika „Polemics”, którego pierwszy zeszyt ukazał się w druku w styczniu bieżącego roku. Redaktorem pisma jest Humphrey Slater. Współpracownikami, między innymi, B. Russel (znany filozof), Ben Nickolson (znany grafik, projektodawca okładek) i K. Popper (sociolog i humanista z „Wienerkreisu”). Ukazanie się „Polemics” narobiło dużo hałasu w prasie brytyjskiej. Oczywiście nie w codziennej, lecz w tej, która się zajmuje sprawami filozofii, psychologii i estetyki. Ponieważ po pierwszym numerze zarzucono wydawcy brak pozytywnego programu kulturalnego, G. Orwell odpowiedział w imieniu pisma w drugim zeszycie, że stawia sobie ono następujące postulaty: 1. Propagowanie wszelkiej swobodnie się wypowiadającej myśli, wbrew tendencjom autorytaryzmu, dziś na świecie powszechnym. 2. Uprawianie racjonalizmu, który rozumieją za Popperem (książka „The open society”) jako „gotowość wysłuchania krytycznych argumentów i zdobywanie wiedzy w oparciu o doświadczenie... postawę, która wyrzuca się w uznaniu możliwości własnej pomyłki i słuszności cudzego stanowiska, ...a prowadzi do konsekwencji do pewnej wspólnej prawdy obiektywnej”. 3. Atakowanie w psychologii teorii Junga jako mistycyzmu — a obrona Freuda. W socjologii: próba rewizji ortodoksyjnego marksizmu. W literaturze: krytyka noworzędnych tendencji romantyzujących.

Nie będę omawiał wszystkich artykułów. Wybiore najciekawsze i najtypowsze. Mówię będę najpierw o drugim zeszycie, potem o trzecim. Zanim streszczę poszczególne essaye, chcę lojalnie zaznaczyć, że w piśmie wyczuwa się wyraźną niechęć w stosunku do wszystkich, co sociecznie. Przypuszczam, że przyczyną tej niechęci jest biedna, jednokierunkowa interpretacja marksizmu.

Zeszyt drugi: G. Orwell. „Przeszkody w twórczości literackiej”. Artykuł daje ciekawą analizę możliwości twórczych prozaika w obecnych ustrojach społecznych. Stwierdza że coraz trudniej o samotność, że samotnikowi pozbawia się izolacji od społeczeństwa. Izolację jest rozumie autor w ten sposób, by pisarz nie mógł być kupiony. To znaczy, by nie sprzedawał swego pióra o nie pisał o tym, co mu jest światopoglądowo obce. Krótko mówiąc: nie powinien być dziennikarzem, jeśli chce być prawdziwie głębokim pisarzem. Autor ze smutkiem stwierdza, że obecny rozwój społeczeństwa prowadzi do zagłady typu powieściopisarza, choć toleruje jeszcze i poetów. Orwell zdaje się niedowidzieć, że pisarz wyrażający aktualne tendencje społeczne może być również dobrym pisarzem.

Wood pisze („Rola przyjemności dla dobrego życia”) o freudyzmie praktykowanym na co dzień. Interpretuje on tezę, że człowiek jest bardziej moralny niż się to wydaje z analizy jego libido. Lepiej jest — twierdzi — zaspokajać przyjemności natury zwierzęcej, gdyż na nich buduje się miłość do ludzi i sympatia dla świata. Zahamowania zaś w sferze libido są przyczyną chorobliwego, neurotycznego amoralizmu. Ideałem samowychowawczym jest „bon homme, bon animal”. Tak więc freudyzm, choć w teorii irracjonalny, daje w praktyce racjonalny plan życia.

Slater pisze o Ben Nicholsonie. Walory estetyczne jego obrazów to: kolor i proporcja elementów. Obrazy nie nie znaczą. Są ornamentem dywanowym, który wyszukuje płaszczyznę dla oddania samych jakości barwnych i najprostszych kształtów geometrycznych. Slater zachwycia się nimi tak samo, jak nasi krytycy sztuki Eibischem.

Zeszyt trzeci „Polemics” jest ciekawszymi. Otwiera go dyskusja redakcji z profesorem Bernalem, który umieścił swe studium socjologiczne w „Modern Quarterly” — piśmie o zdecydowanych sympatiach komunistycznych. Profesor Bernal robi w Anglii to samo, co u nas obóz „Kulniczy”. Mówi o konieczności planowania i zdyscyplinowania społeczeństwa przez ścisłą organizację. „Polemics” broni indywidualizmu i liberalizmu.

Grison wyszydza, subtelnie ironizując, romantyczną poezję niejakiej pani Sitwell. Wskazuje na Boileau jako krytyka literatury, od którego się można najwięcej nauczyć. Odrzuca inspirację i ekspresję liryczną, a żąda od poety intelektualnego wysiłku twórczego.

Orwell analizuje rozwój koncepcji James Burnhama, autora książki „The managerial Revolution”, która wstrząsnęła Ameryką w latach 1940/41. Burnham sądzi, że kapitalizm upada, ale jego miejsce zajmuje nie socjalizm, lecz nowy ustrój, w którym władzę przejmują urzędnicy, wojskowi, technicy i inteligencja zawodowa, czyli tzw. managers. Według drugiej jego książki „Machiavellians”, wszystkie zmiany historyczne polegały na tym, że jedna klasa rządząca następowała po drugiej. Każda z nich była żądną władzy, władzę tę zaś utrzymywała przemocą lub oszustwem (np. fikcją o królestwie niebieskim na ziemi). Zasada historii jest: „struggle for power” (walka o władzę). W r. 1940 Burnham przepowiedział zwycięstwo Niemiec, w r. 1945 w książce „Dziedzictwo Lenina” — socjetyzację całego świata. Orwell zarzuca mu, że opiera swoje teorie na błędnych faktach, bez perspektyw historycznej i że procektwa jego były zwykłe fałszywe. Jego kult prawdy ustępował kultowi władzy, która go w danej chwili osłepiała. Krytyk uważa, iż z tego, że dotąd socjalizmu nie zrealizowano, nie wolno wnosić, że się go nigdy nie zrealizuje. Poza tym wskazuje Burnhamowi, że socjalizm kształtuje się obecnie nie pod znakiem „struggle for power”, lecz pod dyktando wyrównania startu życiowego wszystkim ludzi.

Ph. Toynbee w essayu „Projekt na mistrza” zastanawia się, jak należałoby pokierować życiem młodego adepta literatury, który zamierza zostać albo wybitnym pisarzem albo w ogóle niczym. Zaczyna od ogólnych wskazówek. Należy tworzyć intelektualnie, nie z natchnienia. Dzieło należy opracować po długim badaniu samego siebie, a nie odkryć je łatwo w improwizacji. Zainteresowanie życiem społeczno-politycznym jest konieczne, lecz samą istotą jest ważniejsza (recepta Tołstoja dla Gorkiego: dwa miesiące w Moskwie, 10 miesięcy na prowincji). Do lat trzydziestu należy poznać życie. Doświadczać wszystkiego, a przede wszystkim dużo czytać. Szczególnie literaturę klasyczną. Postawić sobie za cel: nie ulegać modzie literackiej. Wykształcić własny styl i własny punkt widzenia. Przeszłotować socjologię, antropologię i religioznawstwo. Doceniać pierwsze siły irracjonalne w życiu jednostki i grup. Stać się o podniesienie prozy do poziomu poezji. Do klasycznego uporządkowania jej treści i zdyscyplinowania formy. Opanować przede wszystkim technikę słowa (jak Flaubert), a stworzyć dzieło na miarę mistrza spokojnie umrzeć.

Wreszcie ostatni artykuł Trevor-Ropera o książce Poppera „The open society”. Austriacki socjolog przeprowadził krytykę Platona, Hegla i Marxa, dowodząc, że wszyscy trzej byli metafizykami, a zatem z nieuzasadnionych przesłanek wywodził fałszywe konkluzje. Lecz krytyka trzech wymienionych filozofów nie jest jednakowa. W stosunku do Platona jest ona najostrejsza. Wykazuje jego aristokratyzm, jego totalistyczne zapędy. Cytując platoński projekt farm rozpodłowych nazywa go ateńskim Himmlerem. Platoniściemu społeczeństwu, zamkniętemu w określonych ramach z narzuconymi z zewnątrz prawami i normami boskiego lub idealnego pochodzenia, przeciwstawia Popper społeczeństwo „otwarte”, rozwijające się od wewnątrz przez stopniowe, indywidualne przemiany (piecemeal social engineering). Dlatego atakuje Hegla i Marxa. Hegla za to, że determinuje człowieka przez naród i państwo; Marxa za to, że warunkuje człowieka przez walkę klas i elementy gospodarcze. Popper wierzy, że człowiek decyduje o losach świata, że my tworzymy historię, a nie ona nas. Słusznie pyta Trevor-Roper, co to znaczy „my”. Poza tym dodaje, że marksizm jest faktem społecznym, a to co sądzi Popper, jest złudzeniem osobistym. Jednak przyznaje mu słuszność (nie byłby Anglikiem), że społeczeństwo „otwarte” z powolnymi stopniowymi zmianami przy inicjatywie indywidualnej jest społeczeństwem najlepszym z możliwych.

Choć więc ustrój Anglii jest odmienny, choć powszechny standard kulturalny stoi wyżej niż u nas, to jednak intelektualniś angielscy rozważają te same sprawy, które gnębią od wielu miesięcy również intelektualistów polskich.

RZECZYWISTOŚĆ I... „SCIANY MAJĄ USZY”

Do Redaktora „Odrodzenia”

Jest rzeczą zrozumiałą, że sztuka powojenna przez długi czas sięgać będzie po tematy do sześciolatniego okresu „głodu, ognia i wojny”. Nad każdym z nas ciąży jeszcze koszmar przeżytych dni. Każdy z nas wraca myślą do tych czasów, czy to z radością, czy już minęły, czy to ze smutkiem i żalobą po tych, co z winy ich odeszli. W obecnym okresie procesów zbrodniarzy wojennych może szczególnie żywo stać nam przed oczyma ogrom niemieckiego przestępstwa.

Sprawozdania z procesów niemieckich katów, dokumenty ogłaszane przez Komisję Historyczną do Badań Zbrodni Niemieckich, mają między innymi za zadanie zapoznać z hitlerowskim reżymem tych, którym los zaoszczędził bezpośredniego z nim kontaktu.

Oczywiście, od poety, pisarza, czy malarza nie możemy żądać ścisłości zaprzysiężonego świadka, ani opierania się w twórczości wyłącznie na autentycznych faktach i dokumentach. Takich ograniczeń żadna sztuka nie zniesie i w rzeczywistości nikt nie śmie ich stawiać.

Ale gdy autor przedstawia w swoim dziele fakty i ludzi w sposób fałszywy, czy nawet mało prawdopodobny, to opinia publiczna ma prawo wydać sąd o tym, czy działalność autora nie jest szkodliwa. Chodzi mi tu w szczególności o typy Niemców pojawiających się w obecnej powieści, na ekranie, czy scenie. Jest to temat trudny, a przy tym bardzo odpowiedzialny. Niewątpliwie byli między okupantami tacy, którzy chwilami potrafili zbudzić w sobie „człowieka”. Wiadomo też, że zdarzali się tacy, którzy w zętknięciu się z nami okazywali się śmiesznie słabi i beznadzi. Było ich jednak bardzo mało.

Dlatego też zupełnie nie mogę zrozumieć intencji autorów powieści „Scianny mają uszy”, ukazującej się w odcinkach w „Dzienniku Łódzki”.

Jest rzeczą widoczną, że autorzy piszą w celach zarobkowych powieść rozrywkową. Nie leżą więc

Korespondencja

w jej charakterze wstrząsające opisy zbrodni niemieckich. Tylko czy możemy się zgodzić na to, żeby rzeczy o tak wielkim ciężarze gatunkowym, jak te, które przeżywalimy, mogły mieć w jakimkolwiek przedstawieniu charakter, wyłączenie rozrywkowy?

Jeżeli ktośkolwiek chciałby wyrobić sobie sąd o okupacji niemieckiej i o walce z Niemcami na podstawie wyżej wymienionej powieści, to sąd ten byłby zupełnie fałszywy. W powieści tej Niemcy są przedziwnie niedołężni, słabi, łagodni, pozbawieni zupełnie inteligencji i domyślności. W chwili, gdy w rzeczywistości nastąpiłaby pacyfikacja wsi za kontakt z ludźmi z „lasu”, w powieści nie nie zakłóca spokojnego życia jej mieszkańców. Czy tak było w rzeczywistości? Czy rzeczywiście Niemcy traktowali tak łagodnie więźniów i partyzantów, jakby to sądzić można z lektury „Scianny mają uszy”?

Pamiętamy, że nawet w chwili ostatecznej klęski Niemcy potrafili wyniszczać całe obozy i więzienia. Niestety, tak nieudolni nie byli, nie tak kończyły się spotkania „leśne”, obawy po wsiach i łapanie uliczne. Coś za sielankowo upływa żywot ludzi Polscy Podziemnej w powieści pp. Sojeckiego i Stefankiego.

W jednym i tym samym numerze „Dziennik Łódzki” zamieszcza wstrząsające zeznania więźnia z Radogoszczy, sprawozdanie z procesu Greisera — i codzienny odcinek powieści, w którym Niemcy są przedstawieni jak jagniątką.

Wydaje mi się, że nawet w mrokach okupacji był uśmiech, były chwile pogodne — może lepiej je wyzyskać w celu rozrywkowym, zamiast dawać ludziom odtrądzoną walkę w formie awanturniczej przygody, chociażby ten eksperyment opłacał się finansowo? Niewątpliwie bowiem opłaca się, jeżeli autorzy tworzą już drugi tom, przedsięwzięwszy dla kontynuacji fabuły dość ryzykowny krok w postaci wskrzeszenia uśmierconej w pierwszym tomie bohaterki.

„Dziennik Łódzki” podając recenzję z pokazu fil-

O jednym filmie francuskim

Kinematografia francuska w dwa lata po oswojeniu kraju nie tylko pracuje pełną parą, ale już może się poszczycić osiągnięciami, które całkowicie usprawiedliwiają jej reputację — przodującą w produkcji światowej. Co więcej, kilka lat przerwy i nagromadzenie się materiału treściowego przez lata okupacji i walki odświeżyło metody pracy filmowców, odwróciło ich od zbyt ciasno pojętego formalizmu grożącego sztuce zawsze tam, gdzie musi się ona poruszać zbyt długo w nie zmieniającej się problematyce. Działanie wstrząsu jest ożywcze. Przy tym ów wstrząs posłużył wyostreniu się oka realizatora na tym odcinku, który był zawsze najmocniejszą stroną umysłowości francuskiej: realistyczny zmysł szczegółu, szczegółu, który jak gdyby wbrew swemu założeń urosła do znaczenia symbolu. Mam na myśli nie symbolizm pojęciowy, ale symbolizm rzeczy — w dalekiej drodze wywodzący się od starej, znanej w poetyce łacińskiej „pars pro toto”.

„Les clandestins” („Ludzie podziemi”) Cholina, „Jéricho” Calefa, „La dernière chance” („Ostatnia szansa”) Lindtberga — oto tytuły najwybitniejszych filmów, których walory artystyczne musimy przyjąć na słowo, gdyż żaden z nich do nas nie dotarł. Ale „La bataille du rail” wyświetlona jak dotąd tylko w gronie gości zaproszonych przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej i Konsulat — w zupełności to zaufanie usprawiedliwia; powitana przez „Les Lettres Françaises” wykrzyknikiem: nareszcie film o współczesności! — bije swoją popularnością dotychczasowe francuskie filmy batalistyczne, a importowana do Anglii nawet głośnie amerykańskie „Destination Tokio”, „Air Force” i rodzimą produkcję angielską, której część oglądaliśmy w bieżącym sezonie.

Realizatorem „Walki kolejniów” jest René Clément, który poza wprawką w tym samym gatunku „Ceux du rail” („Kolejarze”) wykonaną w r. 1942 — niczego jeszcze nie wykonał. Dlatego tym więcej uderza tu dojrzałość formy. W dodatku Clément nie pracuje z zawodowymi aktorami, tylko właśnie z autentycznym personelem kolejowym, a jeśli tu i ówdzie znajdzie się zawodowy aktor, nie przewyższa ekspresją przypadkowych bohaterów filmu, przyciosanych do tego jednorazowego wysiłku.

Akcja zaczyna się w 1940 r. na jednym z dworców linii demarkacyjnej między Francją-Vichy a okupowaną. Odbija się tam szmugiel dokumentów i ludzi mających coś na sumieniu, przepłoszonych, zaszczutych, szukających kryjówki bodaj w tendrze od lokomotywy czy w kojcu dla psów. Od razu pierwsze obrazy chwytają swoją realistyczną prawdą, a najprostszą rewizją dokumentów sprawia, że widz razem z delikwentem przeżywa ślinę ze zdenerwowania. Potem — akcja sabotażowa: wypuszczanie zawartości z cystern ropnych, przerzucanie składów na nie właściwe tory, petardowanie cylindrów itp. — podjazdowa, nieustająca walka, toczona z zaciekłością i z galipskim humorem. Najmocniejszą partią tej części filmu jest wykonanie wyroku śmierci przez rozstrzelanie na dziedzińcu zakładników, których Niemcy „przykładowo” stawiają pod ścianę. Wśród żołnierzy gwidu lokomotyw całego dworca padają ludzie skryci w cieniu pierwszego aktora tej okropnej chwili, na którego mocnej, twardej twarzy odbija się cała gama uczuć, od rezygnacji, kiedy pada pierwszy trup, do niepokoju, rozpacz, niemięgo krzyku i obławiania się potem, kiedy czołem rzuca się na ścianę najbliższy. Ostatnie spojrzenie na ścianę — pajak snuje spokojnie swoją nić. Pająk w biały dzień, to chyba pech! I nic więcej.

mu francuskiego „Bataille de rail”, obrazującego udział kolejarzy francuskich w ruchu oporu, nazywa ten film „pożyteczną lekcją”. Powołuje się na nieudane postacie Niemców w krótkometrażowej polskiej „Łódź”. Ale ich „operetkowość” polegała na pewnym, trudnym czasem do uniknięcia komizmie czarnego charakteru, natomiast operetkowość wysokich niemieckich urzędników wojskowych w omawianej powieści wynika z ich zupełnie nieprawdziwego przedstawienia.

Niewątpliwie pokaz „Bataille de rail” byłby pożyteczną lekcją dla wszystkich tych, którzy pragną oddać w swej twórczości prawdziwą nastroj okupacji i walki z okupantem. Film francuski nie daje nieprawdopodobnego zwycięstwa grupie partyzantów nad pancernym pociągiem, ale obawiam się, że w dalszych odcinkach „Scianny” i to może nastąpić.

Powtarzam, temat jest za poważny, rzeczywistość za nadto upamiętniona. Nie wolno nikomu traktować tej rzeczywistości pod kątem wyłącznie rozrywkowym, choćby się to nawet w gotówce opłacało.

Helena Michcińska (Łódź)

SZKODLIWA KSIĄŻKA

Do Redaktora „Odrodzenia”

Wyrażam swoje skromne, ale głębokie podziękowanie za zamieszczenie w 24 (81) numerze „Odrodzenia” artykułu „Bakcyli niewoli”, a autorowi artykulu J. Sieradzkemu prawdziwe uznanie. W społeczeństwie naszym, gdzie szybko zapomina się o najstraszniejszych przeżyciach ostatniej niewoli, artykuły tego rodzaju przywołują do przemyślenia. Wolno było Dr. Jagielskiemu swoją książkę napisać, ale żaden wydawca, tym bardziej Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy, nie powinien był jej wydawać. Książka „Scilicet saltans” jest szkodliwa i jest prawdziwym bakcylem niewoli. Powinna być wycofana ze sprzedaży.

dr K. Zbierski (Warszawa)

POMYŁKA AUTORSKA

Do redaktora „Odrodzenia”

W artykule „Zbuntowany hrabia”, zamieszczonym w numerze 26 „Odrodzenia”, autor, Marek Bosak, dwukrotnie wspomina o „obrazie sejmu grodzkiego z hetmanem Branickim i Szczęsnym Potockim”, namalowanym przez Matejkę. Jest to widoczna pomyłka: Sejm grodzkiego z 1793 r. Matejko nigdy nie malował. Autorowi chodziło zapewne o obraz „Tadeusz Rejtan na sejmie warszawskim 1773 r.”, na którego pierwszym planie występuje rzeczywiście Branicki, Szczęsny Potocki i Poniatki.

Henryk Markiewicz (Kraków)

„KINOFIKACJA” ZESZŁA DO GROBU

Do redaktora „Odrodzenia”

W związku z uwagami Wacława Kućkackiego („Odrodzenie”, nr. 82), o terminie „kinofikacja”, przyjętym jakoby w nomenklaturze urzędowej, pozwolę sobie wyjaśnić, że nazwa ta została już od roku zniszczona. Nie ma Wydziału Kinofikacji, istnieje natomiast Centralny Zarząd Kin, działający w ramach „Filmu Polskiego”. Genezą „kinofikacji” oceniona została przez autora trafnie: przyjęciem jej przez organizatorów sieci kin na wyzwolonych obszarach Polski. Z chwilą powstania przedsiębiorstwa państwowego „Film Polski” kinofikacja zeszoła do grobu, jak wiele innych niefortunnych neologizmów językowych. Zachowali ją natomiast w swoim repertuarze fabrykanci latwych dowcipów, przedw którym mogłyby ewentualnie skulować swe pretensje autor spóźnionego artykułu.

Leon Bukowiecki (Łódź)

Poezja obowiązkowa

Wilhelm Szewczyk. Poaągi. Instytut Śląski, Katowice, 1945.

Najłatwiej jest określić i skwalifikować poetę i jego wiersze przez porównanie z drugim poetą, przez przypominanie go do tej lub innej szkoły, przez opisanie kręgu, z którego wyszedł albo w którym się znajduje, przez ustalenie rodowodu. Być może sprawy te są ważne, jednak ich znaczenie dla poezji tego lub innego poety jest nieistotne a subiektywność i dowolność sądów, przy tego rodzaju badaniach, może przedstawić indywidualność poety odbitą (jakże często) jedynie w krzywym zwierciadle krytyka. Zastawianie dwóch poetów, porównywanie ich, doszukiwanie się podobieństw i wpływów, to wszystko jest przydatne, gdy rozważamy wzajemne oddziaływanie na siebie szkół, indywidualności wybitnych na otoczenie itd., ale w recenzji z tomu wierszy jednego poety głównym zadaniem krytyka będzie pisanie o danym poecie i jego(!) poezji.

Uwagi te nasunęły mi się przy czytaniu wierszy Wilhelma Szewczyka. Jeden z krytyków „Kulniczy” ocenił i sklasyfikował te wiersze na podstawie właśnie tej złej i szablonowej recepty, o której wyżej wspominałem; chciał Szewczyka przypisać do Skamandrytów (ściślej do epigonów) albo do awangardy, niestety, próba zawiodła, Szewczyk ze swoją poezją nie pasował ani tu, ani tam. Krytyk zamiast potrudzić się i zastanowić nad wierszami, doszedł szybko do wniosku, że ma do czynienia z poezją „nieczystą”, nieklarowną, w której wymieszali się przypadkowo formalne zdobycze Skamandra i awangardy. Sąd ten (skądinąd słuszny) jest krzywdzący dla całego poety Śląska, krzywdzący, bo przekreśla poetę jako oryginalną, twórczą indywidualność, która przecież istnieje nawet wtedy, gdy nie można jej wtłoczyć do tej lub innej szkoły. Być może (i tak jest), że owa „nieczystość” to właśnie owa najistotniejsza cecha poety, dzięki której nie jest on ani jednym z wielu epigonów Skamandra ani fałszerzem wiersza „awangardowego”.

Szewczyk w słowie od autora stwierdza: „Mówią, że jestem poetą społecznym”. Jeśli zatem „społeczny” był poemat „Hanyś”, tym więcej była nim „Noc”. Ukazał się ten poemat, a może raczej poetycka opowieść, w r. 1941, jako pierwszy, o ile mi wiadomo, śląski druk konspiracyjny. Poeta zwierza się, że z pełną świadomością wypełnia swój społeczny obowiązek, narzędziem, które mu do tego służy (w najściślejzym tego słowa znaczeniu), jest jego poezja; jeśli czasem narzędzie to wyda nam się zbyt nieporadne, twarde i niewykształcone, pamiętajmy o czasie jego powstania i o celu do którego było przeznaczone. Musimy szczególnie pamiętać o tych okolicznościach, jeśli chcemy być w stosunku do poety sprawiedliwi i obiektywni. Bo ten sam poeta pisze też o sobie: „poza tym obowiązkem chłopsze mnie tęsknota za liryką”, wydaje mi się, że w tej sprzeczności, w konflikcie między liryką i obowiązkem znajduje się przyczyna owej „nieczystości” Szewczyka. Bo Szewczyk, wbrew temu, co „mówią” o nim, jest urodzonym lirikiem, świadczą o tym takie wiersze, jak „Kawiorała Maluczkich”, „Kościół N. M. Panny w Katowicach” i przede wszystkim czyste i żarliwe wiersze cyklu „Pasje Sztrasburskie”.

Osoba i główna poezja temu stanowi poemat „Noc”. Jeśli nawet zarzucimy temu poematowi bardzo wiele (sam poeta nazywa go w liście do Bogumila „konwencjonalnym w formie, ubogim w akcie, pstrokatym w treści”), to musimy podnieść jego znaczenie społeczne, musimy też ocenić odwagę poety, który nie cofa się przed wielkimi formami i tematami. „Noc” jest czwartym poematem, który powstał w czasie wojny, i bodaj jedynym napisanym i ogłoszonym w kraju, pod okupacją hitlerowską. Mimo pewnych usterek (stylistycznych i gramatycznych — tu oddaję głos K. A. Jaworskiemu) wolno nam poemat „Noc” postawić obok „Kwiatów Polskich” Tuwima lub „Bani z poezją” Brzozewskiego, na zestawieniu tym nie straca ani koryfeusz Skamandra ani poeta śląski. Na marginesie warto zauważyć, że szczegółowa analiza krytyczna tych poematów dałaby wiele do myślenia i konsumentom i krytykom współczesnej poezji polskiej.

P. S. Szkoda, że pewne wyrażenia gwarowe nie są objaśnione przez poetę; czytelnik, który nie ma pod ręką potrzebnego słownika daremnie się biedzi nad słowami w rodzaju: zbłucha, przeklechać, kwan-tów, brusił, bańturzył, dokorzątsklapucił, stróm itp.

Tadeusz Różewicz

Marian Promiński